

Poszerzamy pole walki



foto: Flickr.com by lumierefl

Od wielu lat, może nawet od swego zarania ruch feministyczny mierzy się z dwoma rodzajami przeciwników. Pierwsi mówią: Po co zajmować się szczególnie problemami, doświadczeniami, punktami widzenia kobiet? Czy kobieta ma jakieś inne potrzeby niż „mężczyzna, człowiek po prostu”? Drużdy, przeciwnie, gotowi są uznać przydatność feminizmu, ale ograniczyliby jego zakres do „spraw kobiecych”. Seks, przemoc i parytety – to tematy dla kobiet. Reszta to już „normalna” polityka.

Osiągnięciem ruchu feministycznego w Polsce jest, że sprawy kobiece wchodziły do głównego nurtu, nie da się ich już na serio ignorować. Wciąż jednak łatwo przychodzi zamykanie feminizmu w kobiecej niszy, odmawianie feministkom prawa do wypowiedziania się o całości problemów współczesnego świata. O wszystkich kwestiach społecznych, gospodarczych, ekologicznych, technologicznych... Dlatego tak istotne jest, aby tu i teraz poszerzać pole walki, przekraczać granice tego, co nauczyliśmy się widzieć jako temat dla feministek. W tym numerze „Zielonych Wiadomości” wskazujemy trzy ważne, a chyba wciąż niedoceniane obszary, w któ-

rych bardzo potrzebne jest feministyczne spojrzenie.

Po pierwsze: edukacja. Likwidowanie szkół przez samorządy, prywatyzacja szkolnych i przedszkolnych stołówek, przymiarki do zmiany, a może likwidacji Karty Nauczyciela (będącej w istocie, jak zauważa Iza Desperak, Kartą Nauczycielki) to zjawiska, które wywierają głęboki wpływ na sytuację kobiet. Nie tylko dlatego, że większość nauczycieli to kobiety. Kobiety stanowią również większość pozornie neutralnej grupy „rodziców”. To one przede wszystkim angażują się w edukację własnych dzieci, to w nie szczególnie uderza, gdy z najbliższej okolicy „znika” szkoła albo rośnie cena obiadu w stołówce.

Po drugie: ochrona zdrowia. Niedofinansowanie i trwająca komercjalizacja ochrony zdrowia, pogarszająca się dostępność, zmniejszająca się liczba pielęgniarek, uderza w kobiety jako pracownice służby zdrowia, jako pacjentki i jako osoby zajmujące się chorymi bliskimi. Oszczędzanie na ochronie zdrowia i podporządkowywanie jej logice zysku nie tylko uderza w jedno z podstawowych praw człowieka, ale także przeobraża relacje między płciami. To kobie-

ty w końcu przejmują na siebie ciężar opieki tam, gdzie wycofuje się z niej państwo.

Po trzecie: dług. Na wszystkich poziomach, od indywidualnego zadłużenia (niespłacone czynsze, kredyt hipoteczny) po zadłużenie publiczne i politykę zaciskania pasa dług wpisuje się w relacje między płciami i przeobraża je. Kobiety są najczęściej menedżerkami ubóstwa, a więc i długu. I to w kobiety szczególnie uderza wycofywanie się państwa z odpowiedzialności za reprodukcję społeczną w ramach zaciskania pasa. Przyjęty niedawno przez Polskę pakt fiskalny to nie tylko triumf pseudoekonomicznej teorii nad wiedzą i zdrowym rozsądkiem, to nie tylko triumf rynków finansowych nad demokracją – to również wielki sukces patriarchy.

Spojrzenie na reformy zdrowia i edukacji oraz na kwestię długu w optyce feministycznej z jednej strony pozwala lepiej zrozumieć naturę zachodzących na naszych oczach zmian, z drugiej zaś otwiera aktywizm feministyczny na nowe, głębsze sojusze. Z każdym rokiem coraz mniej mamy do stracenia. Do zyskania mamy świat cały.

Redakcja

Rozsądek przegrywa z oszczędnościami

Z Iwoną Borchulską, przewodniczącą Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych, rozmawia Adam Ostolski.

Adam Ostolski: Z początkiem roku weszło w życie rozporządzenie ministra zdrowia w sprawie norm zatrudnienia pielęgniarek. Po co w ogóle określa się takie normy?

Iwona Borchulska: Prawo pracy w ochronie zdrowia funkcjonuje w Polsce coraz gorzej. Pielęgniarki i położne przechodzą na kontrakty, dochodzi do tego, że pracują po 200–300 godzin w miesiącu, w dwóch lub trzech miejscach, a zdarzają się i takie, które pracują w sześciu... Oznacza to przemęczenie i gorsze warunki pracy, nieuchronnie też odbija się na bezpieczeństwie pacjenta i jakości opieki. Dlatego potrzebna norma, która określa, ile pielęgniarek powinno być na oddziałach w placówkach korzystających z publicznych pieniędzy.

Nowa ustawa o działalności leczniczej daje delegację do rozporządzenia o minimalnych normach,

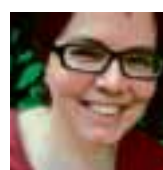
ale tylko w zakładach publicznych. A w tej chwili szpitale przekształcane są w spółki – prywatne, samorządowe itp. Więc naszym zdaniem należy zmienić ustawę. Delegacja do rozporządzenia powinna mówić o wszystkich zakładach, które sięgają po publiczne pieniądze. Nas nie interesuje ich status prawny. Publiczne pieniądze powinny być dzielone i kontraktowane według jasnych zasad. W zarządzeniach prezesa NFZ są wymogi dotyczące sprzętu i lekarzy, to powinny być też wymogi dla pielęgniarek.

AO: Na razie jednak są normy dla zakładów publicznych. Mały krok do przodu?

IB: Fakt, że w ogóle wyszło to rozporządzenie, to efekt naszych usilnych starań, ale jesteśmy bardzo rozczarowane jego ostatecznym kształtem. Został wypracowany projekt rozporządzenia Ministra Zdrowia w sprawie sposobu ustalania minimalnych norm zatrudnienia pielęgniarek i położnych w podmiotach leczniczych niebędących przedsiębiorcami.

ciąg dalszy na str. 16

Rząd tylko mruga



Z Agnieszką Grzybek, feministką, przewodniczącą partii Zieloni, rozmawia Bartłomiej Kozek

Bartłomiej Kozek: Zieloni w Europie intensywnie pracują nad tym, by kojarzyć się nie tylko z ekologią, ale również z wrażliwością społeczną. Jak w praktyce wyglądają zielone działania w dziedzinie równości?

Agnieszka Grzybek: Stawiamy na trzy filary: bezpieczeństwo ekologiczne, socjalne i ekonomiczne i wszystkie one są dla nas równoważne. Świetnie to pokazują nie tylko nasze dokumenty programowe, ale także konkretne działania. W lutym ub. r. poparliśmy postulaty związków zawodowych, przylączając się do pikiet organizowanej przez nich pod Sejmem w Europejskim Dniu Akcji. Jasno wyraziliśmy wówczas nasze stanowisko przeciwko wydłużeniu wieku emerytalnego. To była jedna z najgorszych decyzji rządu Donalda Tuska. Wydłużenie wieku emerytalnego nie wystarczy, aby odwrócić trend starzenia się społeczeństwa i zachęcić ludzi do tego, żeby chcieli mieć dzieci. Potrzebna jest dobra polityka społeczna.

Państwo w większym stopniu powinno ponosić koszty związane z wychowaniem dzieci. Dlatego poparliśmy inicjatywę ZNP „Przedszkole dla każdego dziecka”, czyli ustawę proponującą objęcie wychowania przedszkolnego subwencją oświatową, dzięki czemu gminy miałyby środki na finansowanie przedszkoli. Włączyliśmy się też w kampanię na rzecz ratyfikacji przez Polskę konwencji Rady Europy w sprawie zwalczania i zapobiegania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej. Nie tylko zorganizowaliśmy wspólnie z Fundacją Feminoteka pikietę przed ministerstwem sprawiedliwości, ale także przygotowaliśmy projekt rezolucji „Uczyrmy Europę wolną od przemocy wobec kobiet”, przyjętą przez Europejską Partię Zielonych, której jesteśmy członkiem. W rezolucji wzywamy państwa europejskie do jak najszybszej ratyfikacji konwencji, przyspieszenia prac nad unijną dyrektywą w sprawie przeciwdziałania przemocy wobec kobiet oraz ustanowienia roku 2014 Europejskim Rokiem Zapobiegania i Zwalczania Przemocy wobec Kobiet oraz Przemocy Domowej.

ciąg dalszy na str. 3



W NUMERZE między innymi:



Vandana Shiva – Nasza pełna przemoc gospodarka krzywdzi kobiety: str. 10



Katarzyna Nawratek – Czerwone piórko: str. 14



Ewa Majewska – Prostyucja, feminizm i władza prawa: str. 20

TUWIM 2013

TRIBUTE FEMINISTYCZNY

Gdy stół zapaprze klajstrem świeżym
Modele klejąc twój wybranek,
Gdy do ludzkości, do młodzieży
W komentarz w necie znów uderzy
Zamiast posprzątać Twój kochanek,
By mieszać w nienawiści dzieży,
Bo trzeba z liter armat walić,
Flejmować, i hejtingiem palić;
Gdy zacznie syn Twój zwykłą modłę,
Zmywarkę mamiąc swoją racją,
Że rzyga nad swym życiem podłem
Wkładając gary przed kolacją,
O tym, jak nikt mu tu nie wierzy,
Że się straszliwie przeciwie stara,
Że aż mu z uszu leci para;
Gdy biskup z ambon szczytnych drabin
Rzeknie, iż dom jest sprawą babin,
Bo mu Jan z Pawłem szepczą z nieba,
Że to tradycji jest potrzeba;
Kiedy rozsierdzisz się czasami,
Gdy zdychasz na antybiotyku,
Że w pracy cisną deadline'ami,
A na mróz sama z psem na siku.
- O, przyjaciółko ma uczona
Zaorywania cudzej ziemi!
Wiedz, że nasz ród tu prędejsz skona
niż się cokolwiek samo zmieni;
Wiedz, że to propaganda przykra,
Gdy komplementem świat cię mami,
Żeś Matka Polka jest niezwykła
bo srasz co roku pociechami;
Że nikt nie powie ci „Dziękuję”,
Gdy dźwigasz znowu siaty pełne,
Zaś naród męski nie choruje
Prasując sobie sam bawetnę.
Rznij odkurzaczem w próg piwnicy!
Tutaj się kończy twoja wachta!
I od prawicy do lewicy
Zawołaj, broniąc swej granicy:
„DO GARÓW, WY, PANOWIE SZLACHTA!”

Hanna Gill-Piątek

Niewidzialna przemoc wobec kobiet

Sergio de Arana

Przemoc wobec kobiet jest tak powszechna, że stała się zjawiskiem oczywistym. Traktujemy jako „normalne” zjawisko to, że w każdym większym bloku jest przynajmniej jedno mieszkanie, w którym kobieta jest bita lub poniżana przez męża lub partnera. Według badań prof. Beaty Gruszczyńskiej w Polsce co roku od 700 tysięcy do miliona kobiet pada ofiarą przemocy fizycznej lub seksualnej, 30 tysięcy kobiet staje się ofiarami gwałtu, a 150 kobiet ginie w wyniku tzw. nieporozumień rodzinnych.

W 2012 r. dyskusja o problemie przemocy wobec kobiet pojawiła się wreszcie w polskich mediach, głównie dzięki temu, że minister Gowin próbował zablokować podpisanie Konwencji o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet. Po podpisaniu Konwencji pojawiły się ze strony rządu obietnice szybkiej ratyfikacji tej konwencji oraz wprowadzenia ścigania gwałtu z urzędu (dzisiaj gwałt jest ścigany na wniosek ofiary). A kilka tygodni temu w Walentynki w prawie w 30 miastach w Polsce zorganizowano taneczny protest „Nazywam się Miliard” w ramach akcji „One billion rising”. Tak więc coś zaczyna się zmieniać w naszym postrzeganiu przemocy wobec kobiet, a do rządzących Polską polityków dotarło wreszcie, że „coś z przemocą wobec kobiet trzeba zrobić”.

Jednak aby zmienić w sposób realny i trwały sytuację życiową kobiet doświadczających przemocy, trzeba dokonać wielu głębokich zmian w działaniach państwa oraz w postawach społecznych. Służby i instytucje, które codziennie spotykają się z ofiarami przemocy, muszą zacząć wreszcie traktować przeciwdziałanie przemocy wobec kobiet i dzieci jako swój priorytet. Dziś kobiety doświadczające przemocy, a w szczególności ofiary gwałtu, spotykają się ze strony policji, prokuratury i sądów z lekceważącym traktowaniem, myśleniem stereotypowym („sama jest sobie winna”)



„Nazywam się Miliard, Warszawa, Dworzec Centr. 14.02.2013. fot. A. Kłosińska



oraz brakiem profesjonalizmu. Taki sposób traktowania ofiar przemocy jest możliwy, ponieważ kobiety doświadczające przemocy są w Polsce uznawane za nic nieznaczącą grupę społeczną. Kobiety, które doświadczyły przemocy, są społecznie niewidzialne. Nie wyjdą na ulice wielkich miast, aby blokować ruch i rzucać kamieniami w policję. Nie założą własnej partii politycznej ani związku zawodowego.

Walka o godne życie dla kobiet doświadczających przemocy spada więc na organizacje pozarządowe oraz „radikalne feministki”, które mają czelność przypominać, że 95% sprawców przemocy domowej w Polsce to mężczyźni. Aby w kwestii przemocy wobec kobiet nastąpiła realna zmiana społeczna, potrzebne są nie tylko sprawnie działające instytucje państwa, ale również zmiany w świadomości mężczyzn i kobiet.

Jak podkreśla Jackson Katz w wydanej również w Polsce książce „Paradoks macho”, aby skutecznie zapobiegać przemocy wobec kobiet, mężczyźni muszą zaangażować się w zmianę społeczną. My, mężczyźni musimy wreszcie odrzucić model męskości oparty na władzy, dominacji oraz poniżaniu kobiet. Musimy się nauczyć

szłuchać kobiet i traktować je jako równoprawne partnerki w przestrzeni publicznej, w domu i w mediach. Zmiana społeczna nie będzie możliwa, jeśli nie wyrugujemy z naszej kultury mizoginicznych i seksistowskich wzorców, według których gwałt to świetny temat do żartów, a kobiety są bite przez swoich partnerów, bo „widocznie to lubią”. Możemy oczywiście karać surowo gwałcicieli oraz sprawców przemocy domowej, ale jeśli będziemy wychowywać chłopców w kulturze, w której kobieta jest przedmiotem lub trofeum, to wyrosną nam kolejne pokolenia „mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet”.

Droga do społeczeństwa, w którym przemoc wobec kobiet będzie zjawiskiem marginalnym, a kobiety doświadczające przemocy będą się spotykać z solidarnością społeczną i realną pomocą ze strony państwa, wiedzie właśnie przez równościową edukację. Edukację, w ramach której kobiety nie będą wychowywane na ofiary przemocy, a mężczyźni nie będą uczeni, że władza nad kobietami jest niezbędnym elementem męskości.

Sergio de Arana jest badaczem rynku, cyberaktywistą, obserwatorem życia społecznego.

Gdybym była ministrami edukacji

Iza Desperak

Szanowni państwo, nie jestem jakąś wybitną ekspertką, nie należę do żadnej partii. Jednak pamiętam rządy ekspertów, teraz mówi się o rządzie technicznym – być może znalazłoby się tam miejsce dla autorki technicznego programu reformy edukacji? A jeśli nie, chętnie się tym programem podzielę z pierwszym lepszym ministrem, który chciałby coś dla edukacji zrobić – lub na edukacji wypłynąć.

Moja „techniczna” kompetencja ma charakter praktyczny: kilkanaście lat pracowałam „przy tablicy”. Uciekłam ze szkoły na uczelnię. Ale tych już reformować nie będzie trzeba, jeśli proponowana przeze mnie reforma się powiedzie, nowy narybek wypuszczony z liceów sam będzie dla uczelni wystarczająco reformatorski.

Oto szczegóły mego projektu:

1. Zgodzicie się chyba, że edukacja to absolutny priorytet polityki państwa. Skoro tak, to rola ministerstwa edukacji powinna być bardziej znacząca, ministrowi edukacji nie zaszkodziłaby ranga wicepremiera.

2. Skoro edukacja jest najważniejsza, to musi być priorytetowym zadaniem budżetowym. Dla reformy edukacji nie trzeba budować autostrad ani stadionów, i rezultaty są mniej widoczne, jednak pierwszym elementem reformy musi być znaczące i trwałe zwiększenie nakładów na edukację. Skąd wziąć na to środki to już zadanie ministra finansów, ale gwarantuję że zakończenie „misji” w Afganistanie i przesunięcie jej budżetu na szkolnictwo będzie zauważalną zmianą. Następnie – skoro już nikogo nie będziemy chcie-

li podbijać, a jedynie utrzymywać armię dla obrony naszego bezpieczeństwa, nie będziemy potrzebować bezzałogowych dronów i innych kosztownych elementów uzbrojenia, na które wydaliśmy bądź planujemy wydać miliardy złotych.

3. Kolejnym kluczowym działaniem będzie trzykrotne podniesienie płac wszystkich nauczycieli. I zagwarantowanie ich indeksacji, tak by zawsze przewyższały zarobki średniej kadry menedżerskiej. Można też zapisać, że żaden nauczyciel i żadna nauczycielka nie mogą zarabiać mniej niż poseł czy posłanka. Ostatecznie nauczyciele to ludzie, którym rodzice oddają na wychowanie swoje dzieci – najcenniejsze, co mają. To logiczne, że ktoś, kto szlifuje diamenty, nie może kiepsko zarabiać, prawda?

I to jest cała reforma. Płaca nauczycielska sprawi, że do zawodu będą garnęli się najlepsi, a rekrutacja odbywać się będzie na zasadzie konkurencji. Zwiększy się zainteresowanie zawodem wśród mężczyzn, co sprawi, że dzieci od pierwszej klasy obcować będą z nauczycielami obojga płci i czerpać od nich wzory ról płciowych. Nikt już nie powie, że nauczycielka zarabia „na wakacji”, i nie nazwie nauczycieli grupą roszczeniowych nieudaczników – choć ci, co nie dostali się na studia nauczycielskie, będą oczywiście zazdrościć. Nikt nie będzie pędził po ostatnim dzwonku do drugiej pracy, nie trzeba będzie prowadzić dzienniczek pracy nauczyciela, bo oni sami będą się prześcigać w organizacji zajęć pozalekcyjnych i edukacyjnych wycieczek. Szkoła nie będzie już zalegać elektroni, więc otwarta będzie do wieczora. Otwarta nie tylko dla uczniów, ale dla lokalnej społeczności, której centrum się stanie. Dzięki niżowemu demograficznemu klasy będą

mniej liczne, nikt nie będzie musiał uczyć się na zmianę, a i tak niektóre sale będą puste – będzie można zaprosić tam rodziców i sąsiadów. No i oczywiście odbudować sieć szkolnych stołówek, powiększyć biblioteki, zorganizować sale nauki cichej i miejsca, gdzie sześciolatek pierwszaki będą mogły się zdrzemnąć.

Reforma przyczyni się też do zmniejszenia bezrobocia, bo nauczycielom w każdej klasie przydzielili się asystentów, w świetlicy obok pedagoga dyżurować będzie absolwentka specjalności animacja kultury, a w bibliotece oprócz specjalisty magister filmoznawstwa i informatyki, odpowiedzialni za udostępnianie cyfrowych zasobów, pełniący rolę przewodników. Nic nie będzie stać na przeszkodzie, by już po ukończeniu szkoły absolwenci wpadali na chwilę, by wypożyczyć książkę lub o coś spytać. Wszystkie zajęcia pozalekcyjne będą dla uczniów bezpłatne, a wycieczki dotowane dla wszystkich i refundowane w całości dla mniej zasobnych. No i podręczniki, materiały na zajęcia i lektury szkolne za darmo – dla wszystkich, by nie dzielić uczniów na lepszych i gorszych.

Mrzonka? No cóż, wspominając swoją naukę w przeciętnej szkole w PRL, dochodzę do wniosku, że mimo biedy szkoły były bardziej zadbane niż obecnie. W wielu krajach Europy (m.in. Francji, Szwecji, Wielkiej Brytanii) rząd zapewnia wszystkim uczniom darmowe podręczniki nawet teraz, w epoce głębokich cięć budżetowych. Chyba tylko w Polsce rządzący, z różnych zresztą ekip, wydają się kierować przekonaniem, że na edukację nas nie stać.

Iza Desperak jest socjolożką, współorganizatorką łódzkiej Manify.

Rząd tylko mruga

Z Agnieszką Grzybek, feministką, przewodniczącą partii Zieloni, rozmawia Bartłomiej Kozek

ciąg dalszy ze str. 1

BK: Dbałość o środowisko często uznawana jest w Polsce za wstrzymującą rozwój i modernizację kraju.

AG: W pogoni za Europą, do której bardzo pragnęliśmy „powrócić”, ulegliśmy mitowi modernizacyjnemu. Tymczasem w Europie od wielu lat funkcjonuje już zupełnie inne myślenie. Ludzie zdali sobie sprawę, że z szybkim rozwojem, opartym na eksploatacji zasobów nieodnawialnych – przyrody i ludzi – wiążą się bardzo wysokie koszty społeczne, zdrowotne itp. Jednocześnie badania naukowców potwierdziły, że to właśnie bezmyślna działalność człowieka w pogoni za zyskiem przyczynia się do zmian klimatycznych.

BK: Wielu osobom zmiany klimatyczne wydają się dość abstrakcyjnym problemem...

AG: Ich skutki widać nie tylko w odległych rejonach świata, ale także w Polsce. Ekstremalne zjawiska pogodowe, takie jak susze, powodzie czy tornada pogarszają warunki życia ludzi, bo to oni tracą zbiory, tracą miejsca pracy, tracą dobytek i swój dom. Więc to nie działania podejmowane, żeby zapobiegać zmianom klimatycznym, wpływają negatywnie na sytuację osób gorzej sytuowanych, ale ich zaniechanie. W naszym interesie jest, aby rząd przestał blokować unijną politykę ratowania klimatu.

BK: Czy nie dziwi cię nadal wysokie poparcie dla PO wśród kobiet, mimo że podniesiono im o 7 lat wiek przejścia na emeryturę, zamknięte są szkoły, coraz gorzej dzieje się w ochronie zdrowia?

AG: Z tego strachu godzimy się na wszystko, co proponuje PO: komercjalizację szpitali, likwidację szkół, stołówek, bibliotek, wycinanie drzew, prywatyzację usług publicznych. Myślę jednak, że ten trend już się zaczął odwracać i podczas następnych wyborów Polki i Polacy wystawią rachunek.

Przyznam, że dla mnie dużym zaskoczeniem było to, że odrzucenie przez Sejm, m.in. głosami PO, wszystkich projektów ustaw o związkach partnerskich, wywołało taki gniew społeczny. Debata o związkach partnerskich jest papierkiem lakmusowym pokazującym, jak bardzo – jako społeczeństwo – zmieniliśmy się mentalnie.

BK: To skąd to poparcie dla PO?

AG: Media ciągle nas straszą powrotem PiS do władzy. Dotychczas ten straszak działał. Ale czy tak będzie podczas następnych wyborów? Wątpię.

BK: W ostatnim exposé Tusk roztoczył wizję kraju napędzanego publicznymi inwestycjami, a na dodatek zapowiedział wydłużenie urlopu rodzicielskiego oraz zwiększenie finansowania nowych żłobków i przedszkoli. Przekonują cię te zapowiedzi?

AG: Przekonają mnie, jak zostaną zrealizowane. Wcześniejsze huczne obietnice pozostały na papierze. Myślę jednak, że duża w tym rola organizacji kobiecych, nacisku opinii publicznej, ale przede wszystkim uświadomienia sobie



przez rząd, że bez dobrej polityki społecznej grozi nam zapaść demograficzna. Od lat w Polsce rodzi się coraz mniej dzieci i we wszystkich badaniach ludzie wskazują, że wysokie koszty związane z wychowaniem dzieci, brak mieszkań dostępnych cenowo powoduje, że albo w ogóle rezygnują z posiadania potomstwa, albo odkładają to na później. Dopóki nie zmieni się sposób finansowania żłobków i przedszkoli, sytuacja się nie poprawi. Gminy mniej zamożne stając przed wyborem priorytetów, najczęściej tną wydatki na politykę społeczną.

BK: Z nierównościami na rynku pracy mamy dziś do czynienia w najróżniejszych formach. Do już wcześniej obserwowanych zjawisk, takich jak nierówności płacowe między płciami, dochodzą nowe, chociażby w postaci rosnącej grupy osób pracujących na umowach „śmieciowych”. Rosnie bezrobocie, szczególnie wśród osób młodych...

AG: Do negatywnych zjawisk dorzuciłabym jeszcze tzw. „pracujących biednych”, czyli osoby, które otrzymują wynagrodzenie za pracę, ale nie stać ich na opłacenie rachunków i życie na jakim takim poziomie. Większość osób w Polsce nie ma żadnych oszczędności, ludzie żyją z dnia na dzień, albo na kredyt, którego nie mogą spłacić, wzięty po to, żeby opędzić podstawowe potrzeby.

BK: Jaka jest zielona odpowiedź na te problemy?

AG: Naszą odpowiedzią jest Zielony Nowy Ład, czyli transformacja gospodarki w taki sposób, aby wszyscy mogli się cieszyć trwałym rozwojem, i by system nie generował ciągłych kryzysów. Postawienie na rozwój zielonej gospodarki to także tworzenie nowych miejsc pracy.

BK: Mimo ogłoszonego przez publicystów „skrętu w lewo” PO i pojawienia się w Sejmie Ruchu Palikota, partii liberalnej światopoglądowo, nie dokonana się zmiana w kwestiach obyczajowych. Dlaczego Sejm jest dziś bardziej konserwatywny niż społeczeństwo?

AG: Nie od dziś Sejm jest bardziej konserwatywny niż społeczeństwo, a politycy nie nadążają za zmianami, ale takich właśnie

przecież posłów i posłanki sobie wybraliśmy. Duża w tym zasługa mediów głównego nurtu, które co jakiś czas rozpętują histerię pod tytułem „jak PiS wróci do władzy”. Ale strach, jak powiedział prof. Zygmunt Bauman, to uczucie poddanych, a nie obywateli. Z tego strachu godzimy się na wszystko, co proponuje PO: komercjalizację szpitali, likwidację szkół, stołówek, bibliotek, wycinanie drzew, prywatyzację usług publicznych. Myślę jednak, że ten trend już się zaczął odwracać i podczas następnych wyborów Polki i Polacy wystawią rachunek.

Przyznam, że dla mnie dużym zaskoczeniem było to, że odrzucenie przez Sejm, m.in. głosami PO, wszystkich projektów ustaw o związkach partnerskich, wywołało taki gniew społeczny. Debata o związkach partnerskich jest papierkiem lakmusowym pokazującym, jak bardzo – jako społeczeństwo – zmieniliśmy się mentalnie.

BK: Na koniec pytanie dobre na początek marca – czym dla ciebie jest feminizm?

AG: Feminizm jest dla mnie solą życia (śmiech). Jego definicja jest dosyć prosta: po pierwsze, dostrzegasz, że kobiety mają gorzej, po drugie, się z tym nie zgadzasz, a po trzecie, chcesz to zmienić, więc działasz. W ciągu ostatnich kilkunastu lat naprawdę wiele się w Polsce zmieniło, m.in. dzięki organizacjom feministycznym. Tematy wcześniej nieistniejące w debacie publicznej, takie jak przemoc wobec kobiet, molestowanie seksualne, mobbing, dyskryminacja, dziś już nikogo nie dziwią. Mimo to wciąż jeszcze jest dużo do zrobienia. Dlatego uważam, że potrzebne są różne formy działania – i Manify, coroczne wielotysięczne manifestacje, podczas których przedstawiane są postulaty, jak i Kongres Kobiet, który zaktywizował wiele kobiet z całej Polski. A teraz ta cała kobieca fala szykuje się do następnych wyborów. I dopiero wtedy w Sejmie znajdzie się wreszcie tzw. masa krytyczna, czyli co najmniej 35 proc. kobiet, będziemy mogli liczyć na urzeczywistnienie postulatów od lat zgłaszanych przez ruch kobiecy.

Cała rozmowa: www.zielonewiadomosci.pl

Zazielenić Opole

Z opolską radną Zielonych Beatą Kubicą rozmawia Bartłomiej Kozek.

Bartłomiej Kozek: *Podobno mocno angażujesz się w działania na rzecz rodzin wielodzietnych. Czym jeszcze zajmujesz się w radzie miasta?*

Beata Kubica: Angażuję się we wszystkie działania przypisane Radzie Miasta Opola. Są jednak obszary szczególnie mi bliskie: polityka społeczna i ekologia, zwłaszcza w kontekście miejskich inwestycji. Wspólnie z innymi radnymi utworzyliśmy nieformalną Samorządową Grupę Kobiet. Wiedziałyśmy, że na wiele spraw mamy zupełnie inny światopogląd. Skupiamy się na inicjatywach, przy których mimo dzielących nas różnic możemy się porozumieć. Jedną z nich był projekt Opolskiej Rodziny 3+, zakładający znaczne zniżki dla rodzin wielodzietnych w miejskich instytucjach kulturalnych i sportowych oraz komunikacji miejskiej. Niestety nawet ten mało radykalny projekt przepadł, nie znajdując poparcia w radzie miasta.

– Coraz częściej mówi się o „katastrofie demograficznej” na Opolszczyźnie. Co miasto takie jak Opole może zrobić dla poprawy jakości życia dzieci w nim zamieszkujących, nie tylko tych z rodzin wielodzietnych?

BK: Opolszczyzna jest specyficznym regionem, bo procesy, które po wstąpieniu do Unii Europejskiej dotknęły też innych regionów Polski, u nas zaczęły się dużo wcześniej. Chodzi o masową emigrację za pracą do Niemiec, możliwą dlatego, że osoby z mniejszości niemieckiej posiadają podwójne obywatelstwo. Od 20 lat Opolszczyzna ma ujemny przyrost naturalny. Są jednak gminy takie jak np. Gogolin (centrum mniejszości niemieckiej), gdzie sytuację udało się opanować dzięki łatwemu i tanemu dostępowi do usług opiekuńczych (żłobki i przedszkola) oraz intensywnej polityce wspierania inwestycji na terenie gminy, co przekłada się na miejsca pracy.

– Ostatnio w mediach mówi się o konfliktach wokół powiększenia Elektrowni Opole. Protestujących przeciwko temu pomysłowi ekologów nazwano „przeciwni-

kami postępu”. Jakie jest twoje zdanie na ten temat?

BK: Co do nazwania ekologów przeciwnikami postępu? To funkcjonujący od lat stereotyp i nie będzie łatwo go zmienić. Polska ma ogromny problem ze stworzeniem nowoczesnej i innowacyjnej strategii rozwoju energetyki. Opiera ją na „starych” źródłach (węgiel, atom), nie wykorzystuje natomiast potencjału odnawialnych źródeł energii, takich jak słońce czy wiatr. Od lat nie modernizuje sieci przesyłowych. Tracimy na tym my wszyscy, jako konsumenci.

– Jesteś radną już 2 lata – z których swoich osiągnięć jesteś najbardziej dumna? A na jakie podejmowane przez miasto działania jesteś wyjątkowo wściekła?

BK: Na pewno jestem dumna z pracy w Zespole ds. infrastruktury rowerowej oraz z tego, że powstał nowy miejski żłobek. A lista spraw, na które jestem wściekła, jest tak długa, że nie starczy nam tu miejsca (śmiech).

– Jaka jest Twoja wizja idealnego Opola? Czy twoim zdaniem przez te 2 lata miasto zbliżyło się, czy też oddaliło od niej?

BK: Miasto jest bardziej przyjazne transportowi rowerowemu, jest znacznie więcej miejsc w żłobkach publicznych i prywatnych. Są one jednak drogie i ciągle na miejsce czeka ok. 500 maluchów. Brak miejsc pracy i wizji ich tworzenia sprawia, że Opole jest i pozostanie miastem imigracyjnym. Podobnie jak wiele miastek i wielu mieszkańców Opola chciałabym, by to miasto dynamicznie się rozwijało: zgodnie z zasadą zrównoważonego rozwoju, z tanimi miejscami w żłobkach, klubach malucha i przedszkolach, z pulą tanich mieszkań na wynajem, z transparentnym budżetem i zasadą podejmowania najważniejszych decyzji. Z co najmniej 1% budżetem partycypacyjnym dzielonym przez samych mieszkańców. Do takiego obrazu Opola jeszcze bardzo, bardzo daleko.

Cała rozmowa: www.zielonewiadomosci.pl/zieloni-radni/



Smolec mocno osadzony w świecie

Sebastian Kotlarz, zielony radny gminy Kąty Wrocławskie, w rozmowie z Bartłomiejem Kozkiem.

BK: Właściwie „od zawsze” zajmujesz się prawami kobiet. W jaki sposób opowiadasz o nich w swojej gminie i czy twoje działania znajdują odzwierciedlenie w podejmowanych w gminie działaniach?

SK: Podpisałem zobowiązanie, że podejmę działania w kierunku wprowadzenia w życie Europejskiej Karty Równości Kobiet i Mężczyzn w Życiu Lokalnym. W r. 2011 ówczesna wicewojewoda dolnośląska Ilona Antoniszyn-Klik mianowała mnie ambasadorem aktywności kobiet w życiu publicznym. Staram się brać udział w spotkaniach poświęconych kwestii partycypacji kobiet w sferze publicznej. W sprawie wprowadzenia w życie Europejskiej Karty Równości Kobiet i Mężczyzn w Życiu Lokalnym poparły mnie: pani Renata Berent-Mieszczanowicz, prezes Demokratycznej Unii Kobiet, Agnieszka Curyło. Oprócz tego cały czas prowadzę założone przeze mnie strony internetowe poświęcone kobietom w polityce, historii i religii. Moim marzeniem jest utworzenie Muzeum Historii Kobiet Dolnośląskich oraz Szlaku Wielkich Dolnoślążaczek.

BK: Czy masz poczucie, że Smolec w ciągu ostatnich kilku lat przybliżył się, czy oddala od świata? Czy w twoich okolicach likwiduje się szkoły, zamyka urzędy pocztowe, kasuje połączenia autobusowe, czy też udaje się tego uniknąć?

SK: Smolec cały czas jest mocno w świecie osadzony. Mamy nowe przedszkole, być może wkrótce pojawi się żłobek. Szkoła podstawowa będzie rozbudowywana. Urzędu pocztowego nikt nie zamierza likwidować, ale walczę o remont chodnika, który do niego wiedzie. Po cichu liczę na to, że ktoś z PKP Dworce Kolejowe przeczyta ten wywiad i się nad nami zlituje. Mamy połączenia autobusowe i dworzec kolejowy. Smolec znajduje się zaledwie ok. 11 km od Wrocławia, więc o jakimkolwiek „oddalaniu się od świata” mowy być nie może. Wraz z Towarzystwem Przyjaciół Smolca chciałbym, by w przyszłości powstała tu filia Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu. Dla mieszkańców bardzo ważną sprawą jest przebudowa ulicy Głównej oraz budowa chodnika przy ulicy Chłopskiej, który połączyłby obie części miejscowości. Paradoksalnie, Smolec trzeba zbliżyć „do siebie”. To zadanie spoczywa na barkach „naszego” radnego powiatowego i mocno trzymam za niego kciuki.

BK: Czy władze gminy wykazują zainteresowanie takimi pomysłami na jej rozwój, jak rozproszone energetyka odnawialna albo agroturystyka?

SK: Władze podejmują starania, aby gmina Kąty Wrocławskie była miejscem dobrym dla odpoczynku. Nie może być tak, że nagle w pobliżu domów zaczną wyrastać fabryki. Doskonałym miejscem do wypoczynku jest Bystrzycki Park Krajobrazowy ze specjalną przystanią kajakarską i łowiskami. Myślę, że w przyszłości agroturystyka odegra bardzo ważną rolę w rozwoju naszej gminy.

BK: Często mówisz o tym, że twoje spojrzenie na świat w dużej mierze ukształtowała twoja wiara. Co odpowiadasz tym, którzy dziwią się, że jako osoba wierząca współpracujesz z partią, domagającą się prawa do aborcji czy rozdziału kościoła od państwa?

SK: Wcale tak często o tym nie opowiadam (śmiech). Moje przekonania religijne są moją prywatną sprawą. Dotychczas nikt mnie o to nie pytał. Ludzi interesują raczej takie kwestie, jak domy, chodniki, kanalizacja. Polski jezuita, dr Jacek Prusak, napisał, że w dziejach ludzkości często „zapominano, że Stwórca był Feministą, bo patriarchatowi nadano rangę struktury ustanowionej przez Niego. Seksizm stał się elementem kultury, w dodatku często usprawiedliwianym religijnie.” Jezus szokował swoim stosunkiem do kobiet, łamiąc dyskryminujące jest prawa i obyczaje. Trzeba Go naśladować.

Całość: www.zielonewiadomosci.pl/zieloni-radni/

Ocalmy wiejskie szkoły

.....
Dorota Obidniak

Czy państwo jest świadome cywilizacyjnej misji, jaką mogłyby spełnić wiejskie szkoły i skupione wokół nich środowiska? Czy wspiera inicjatywy, które dają wiejskim dzieciom szansę na dobrą edukację? Czy możemy akceptować fakt istnienia na wsi jednej szkoły, która na dodatek jest szkołą prywatną? Czy taka sytuacja jest zgodna z Konstytucją RP, gwarantującą wszystkim obywatelom dostęp do bezpłatnej publicznej edukacji? Czy państwo ma świadomość odpowiedzialności za los polskiej wspólnoty? – pytałam w artykule opublikowanym kilka miesięcy temu w „Głosie Nauczycielskim”.

Pretekstem do postawienia tych pytań był tekst poświęcony postulatowi tworzenia wiejskich centrów edukacji i kultury. Pomysł przekształcania wiejskich szkół w centra edukacyjne powstał w ZNP, następnie koncepcja centrów została rozwinięta i wzbogacona o działania na rzecz włączania do uczestnictwa w kulturze. Nie chodzi o kolejną reformę oświaty, lecz o zbudowanie w państwie i przez państwo nowoczesnych publicznych centrów edukacyjnych, wykorzystujących zasoby małych wiejskich szkół oraz kapitał społeczny i kulturowy lokalnych grup. Centra byłyby doskonałą odpowiedzią na rządowy pomysł tworzenia „światlików”, które premier Donald Tusk wzorem orlików chciał budować na wsiach. Po co od podstaw budować „światliki”, skoro budynki i kadry są pod ręką. Trzeba tylko zastanowić się, jak je wykorzystać.

Tymczasem na naszych oczach giną wiejskie szkoły. Walka o ich zachowanie prowadzona przez lokalne społeczności nie ma tylko egoistycznego wymiaru, choć ten szczególnie chętnie i gorliwie podkreślają media. Broniąc likwidowanej placówki, rodzice i nauczyciele bronią także kolektywnej własności, swojej tradycji i dorobku, często godności. Dziennikarskie relacje nie pokazują konfliktów wokół zamykanych szkół w szerszym kontekście. Nikt nie pyta na przykład, czego wsie te wcześniej już zostały pozbawione, czy ich mieszkańcy mają dostęp do opieki zdrowotnej, kultury, ofert nauki dla dorosłych, publicznego transportu, rynku pracy.

Dla samorządów prowadzących szkoły i władz oświatowych liczą się pieniądze, a te ściśle wiążą się z demografią. Mało dzieci to mało pieniędzy z subwencji, co oznacza większe dopłaty z gminnej kasy. W takim myśleniu nie ma miejsca na wizję

i wyobraźnię. Nie za to się urzędników nagradza. Dlatego raczej nie należy spodziewać się, że sami z siebie podejmą próbę zatrzymania procesów, które z ich współmieszkańców czynią obywateli drugiej kategorii.

Zmianie sposobu postrzegania problemów edukacji nie sprzyja też powszechne przekonanie, że lekiem na wszelkie bóle jest prywatyzacja edukacji, eufemistycznie zwana „uspolecaniem”. Tak jak w latach 90. zachłysłniśmy się wolnym rynkiem i wiarą w nieograniczony wzrost gospodarczy, tak urzekły nas zachodnie i amerykańskie rozwiązania w oświacie: egzaminy zewnętrzne, rankingi i giełdy szkół zarządzanych metodą „total quality management”, z których oferty „klientów” (czyli rodzice i uczniowie) wybierali mieli najlepsze i najbardziej atrakcyjne kąski. Stosowaliśmy się do tych recept z pasją nuworyszy tyleż ambitnych, co nieświadomych, że koncepcje, które uznaliśmy za nowoczesne i stanowiące rękojmię sukcesu, w krajach, w których je wykreowano, poddawane są coraz ostrzejszej krytyce.

Do zbudowania rzetelnego programu niezbędnym jest też pilotaż, który przeprowadzić się powinno przynajmniej w kilku zagrożonych likwidacją szkołach. Jeśli przekształcenie ich w centra edukacji permanentnej i ośrodki kultury ma przynieść trwałe i dające wszystkim zainteresowanym satysfakcjonujące efekty, to szczególne warunki i sposoby realizacji takiego przedsięwzięcia mogą powstać wyłącznie w porozumieniu z lokalnymi społecznościami i władzami po rozpoznaniu ich zasobów i potrzeb oraz przy wsparciu władz centralnych. Idea wiejskich centrów edukacji nie zakłada, że wszystkie działania centrum będą odbywać się w jednym szkolnym budynku. Szkoła ma być elementem sieci, której częścią może być biblioteka, wiejska świetlica, ośrodek zdrowia (o ile przetrwały), a nawet orlik.

Szkoły przekształcone w wiejskie centra edukacji mają połączyć w sobie placówki, które dotychczas traktowane były jako odrębne, także to, by ideą uczenia się przez całe życie przywrócić jej faktyczny sens. Chodzi o rozumienie uczenia się od urodzenia aż po kres ludzkiej aktywności jako jednolitego, harmonijnego procesu rozwoju jednostki, zarówno jej ogólnych jak i zawodowych kompetencji. Wiejskie centra edukacji mogłyby więc przyczynić się do podniesienia poziomu alfabetyzmu funkcjonalnego i urealnienia szans na uczestnictwo wielu tysięcy Polaków i Polek w kulturze. Mogłyby pomóc im w przywróceniu



Mirocin-Dolny-cc 2.0 by -Skarabeusz, wiki

wiary we własne siły, wzmocnić przekonanie, że mogą zrobić coś ważnego dla swojej rodziny i otoczenia oraz w to, że po prostu mają jakąś przyszłość. A przede wszystkim, że myśląc o przyszłości mogą liczyć na pomoc i wsparcie.

Koncepcja wiejskich centrów edukacji wywodzi się z założeń szkół środowiskowych, zwanych także otwartymi, nie jest więc nowa, choć przechodziła różne modyfikacje wynikające ze zmieniających się warunków cywilizacyjnych. Najogólniej rzecz ujmując, szkoła środowiskowa powinna być placówką dydaktyczno – wychowawczą, oferującą zajęcia edukacyjne i kulturalne dla osób w wieku od 0 do 100 lat. Jej program powinien zaś łączyć w sobie najlepsze doświadczenia pedagogiczne z ideą uczenia się przez całe życie.

Coraz chętniej wracają do niej i próbują ją implementować, w całości lub częściowo, politycy i władze oświatowe w różnych krajach – Danii, Francji, Anglii czy Norwegii. Wynika to i z przekonania, że dotychczasowy model szkoły się wyczerpał, i ze zmian demograficznych, w końcu z konieczności objęcia edukacją coraz większych grup osób dorosłych.

Wiejskie centra edukacji to projekt, dzięki któremu uratować można przed roztrwonieniem materialne zasoby, społeczny i kulturowy kapitał wytworzony przez lokalne społeczności.

Ktoś powie idealistyczne i naiwne, ale jak pisał Tony Judt w „Żle ma się kraj”: „idealistyczne i naiwne – ktoś dziś wierzy w takie wspólne ideały? Ktoś jednak musi wziąć odpowiedzialność za to, co Jan Patočka nazwał «duszą w państwie». Nie można jej bez końca zastępować opowieścią o nieograniczonym wzroście gospodarczym”.

.....
Dorota Obidniak jest nauczycielką, założycielką i wieloletnią prezeską Polskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Języka Niemieckiego, działaczką ZNP. Zasiada w radzie programowej Kongresu Kobiet.

CZYM MIAŁYBY BYĆ WIEJSKIE CENTRA EDUKACYJNE?

Wiejskie centra edukacyjne byłyby placówkami, w których znajdzie się miejsce na żłobek, przedszkole i szkołę podstawową z nowoczesną świetlicą i biblioteką. Centrum takie stałoby się jednocześnie miejscem kształcenia dorosłych.

Ważną część centrum stanowiłaby Akademia Kobiet, w której matki i babcie uczyłyby się, jak wspierać edukację dzieci na najważniejszym początkowym etapie ich rozwoju.

Akademia Kobiet obejmowałaby obowiązkowe moduły szkoleniowe:

- Wspieranie rozwoju dziecka – pomoc edukacyjna
- Profilaktyka zdrowotna – zdrowie seksualne

oraz moduły opcjonalne, np. opiekę nad osobami zależnymi. Stworzyłoby to wiejskim kobietom szansę na uzyskanie kwalifikacji w zawodach opiekuńczych.

Centra byłyby też placówkami kształcącymi dorosłych,

podnoszącymi ich ogólne kompetencje, które umożliwiłyby im podnoszenie lub zdobywanie nowych kwalifikacji oraz rozwijanie przedsiębiorczości.

Centra stanowiłyby swoiste laboratoria edukacyjne, które umożliwiłyby:

- opracowanie optymalnych form, metod i programów podnoszenia i uzupełniania kwalifikacji zawodowych nauczycieli, przygotowywania ich do pracy z małymi dziećmi od (0 do 6 lat) lub dorosłymi,
- kreowanie lokalnych polityk edukacyjnych,
- tworzenia indywidualnych programów uczenia się,
- wypracowanie koncepcji nowego modelu czasu pracy nauczycieli.

Przy realizacji zagadnień związanych z opieką zdrowotną centra ściśle współpracowały z lokalnymi zakładami służby zdrowia, stając się ośrodkami promocji ochrony zdrowia i podnoszenia kultury zdrowotnej. Idea działalności centrów opierałaby się także na zasadzie „uczenia się wzajemnego”, niektóre zajęcia odbywałyby się w grupach złożonych z dzieci i dorosłych.

Dorota Obidniak

Kogo chroni Karta Nauczycielki

Karta Nauczycielki do likwidacji czy neoliberalne państwo do generalnego remontu?

Ewa Charkiewicz

W ubiegłym roku Karta Nauczyciela obchodziła swoje 30 urodziny. Jak zauważa Iza Desperak, de facto jest to Karta Nauczycielki: 77% osób zatrudnionych w edukacji to kobiety. Edukacja jest prawem i obowiązkiem do 18 roku życia, a publiczny dostęp do niej gwarantuje Konstytucja (Art. 70). W optyce neoliberalnego państwa, które legitymizuje się jako menedżer wzrostu gospodarczego, edukacja jest ujęta nie jako dobro wspólne, lecz inwestycja w kapitał ludzki. Ma służyć wzmocnieniu konkurencyjnych przewag Polski na globalnych rynkach i zarazem jest czynnikiem przyspieszonej akumulacji kapitału, co rządowy raport „Polska 2030 – wyzwania rozwojowe” wskazuje jako główny cel rozwoju Polski.

Karta dotyczy blisko 600 tys. osób zatrudnionych w oświacie i wychowaniu na stanowiskach nauczycielskich, wychowawczych i bibliotekarskich. Ale jej polityczne znaczenie wykracza poza tę grupę zawodową. Karta, która miała kiedyś status dokumentu uzupełniającego i nadrzędnego wobec Kodeksu Pracy, jest jednym z ostatnich przyczółków praw pracowniczych na kurczącym się rynku stałych umów o pracę, jak i wspólnym zasobem, który podtrzymuje pamięć o tych prawach. Prawa pracownicze i socjalne są integralną częścią praw człowieka, a państwo zgodnie z podpisanymi międzynarodowymi umowami powinno zapewniać środki na ich wdrażanie.

Społecznie zaangażowany feminizm ma więc zobowiązanie, aby Kartę Nauczycielki potraktować jako sprawę nas wszystkich i wesprzeć takie rozwiązania, które zabezpieczają prawa nauczycielek i nauczycieli, uczniów i rodziców, a także edukację i wiedzę jako dobra wspólne. Takie wsparcie jest potrzebne, gdyż właśnie Karta Nauczycielki stała się przedmiotem kolejnych ataków, bynajmniej nie pierwszych w jej 30-letniej historii.

Karta powstawała na początku lat 80. w efekcie protestów społecznych na fali pierwszej „Solidarności” jako oddolna inicjatywa środowisk nauczycielskich. Na tej samej fali powstawały innowacyjne eksperymenty edukacyjne, jak i ruchy przeciwko przemocy w szkole. Stan wojenny przerwał negocjacje nad Kartą, która została uchwalona już po jego ogłoszeniu. Poprawki (o socjalistycznym wychowaniu) do pierwotnej wersji społecznej zniesiono po 1990 r., zastępując je wychowaniem do przedsiębiorczości, a pozostawiając patriotyzm i umiłowanie ojczyzny. Karta Nauczyciela dotyczyła wówczas także pracowników akademickich, którym ostatecznie odebrano te uprawnienia wraz z ostatnią nowelizacją prawa o szkolnictwie wyższym.

Meandry decentralizacji

W 2012 r. samorzady przedstawiły w Ministerstwie Oświaty i grupie parlamentarnej Platformy Obywatelskiej propozycję potaniania kosztów edukacji przez likwidację statusu nauczycieli mianowanych, wprowadzenie wyłącznie czasowych umów o pracę dla nauczycieli kontraktowych, likwidację dodatku uzupełniającego, zwiększenie godzin pracy oraz likwidację ograniczeń w prywatyzacji szkół.

„Wszystkie gminy i powiaty mają bowiem



ten sam problem – koszty utrzymania przedszkoli, szkół podstawowych i gimnazjów rujną lokalne budżety” – lamentowali przedstawiciele władz lokalnych z Wałbrzycha i Oławy. Ci sami, którzy wcześniej inwestowali i zadłużali miasta, bynajmniej nie na realizację podstawowych potrzeb mieszkańców, jak edukacja czy mieszkanie, ale na aquapark, infrastrukturę dla specjalnej strefy ekonomicznej i na gentryfikację, aby uatrakcyjnić miasta dla inwestorów i turystów. Jak informują media, samorzady chcą zlikwidować ok. 1800 szkół. Warto się przyjrzeć, co doprowadziło do takiej sytuacji i dlaczego samorzady nie wywiązują się ze swoich ustawowych obowiązków?

W pierwszej dekadzie transformacji przekazywano samorządom część własności państwa i szereg obowiązków władzy centralnej. Reformy przekazały samorządom odpowiedzialność i kontrolę nad reprodukcją społeczną, czyli pomoc socjalną, mieszkalnictwo i inne dobra komunalne, politykę pracy, ochronę zdrowia i oświatę. Zarazem samorządom narzucono odpowiedzialność za wspieranie lokalnego rozwoju ekonomicznego i stawiano przed nimi wyzwania przedsiębiorczości. Samorzady zaczęły zaciągać kredyty na inwestycje, a obecnie, aby sfinansować koszt obsługi zadłużenia i kolejne inwestycje, ograniczają wydatki na szeroko rozumianą opiekę, w tym także na oświatę.

Osoby niezamożne i pozbawiane pracy, mieszkań i dostępu do szeroko rozumianej opieki zostały uzależnione od decyzji władz lokalnych. Ludzie niezamożni są traktowani jako obywatele niższej kategorii, nie przynoszą dochodów podatkowych. Neoliberalne państwo, miasta czy gminy rządzą tak jak firmy, czyli przede wszystkim pod kątem zarządzania wartością, przez bodźce finansowe i alokację środków (albo ich wstrzymanie). W tej optyce dwa najważniejsze dokumenty polityczne to budżet i sprawozdanie finansowe. W neoliberalnych kalkulacjach państwa i gmin ubodzy, jak i wydatki na szeroko rozumianą opiekę/reprodukcję społeczną stanowią pasywa, które trzeba zredukować.

Reprodukcja społeczna i ekonomia opieki

Neoliberalizm jako zarządzanie państwem zgodnie z logiką przedsiębiorstwa w połączeniu z gilotyną długu wymuszają ciągły wzrost wydatków w sferze społecznej. I tu kryje się odpowiedź na pytanie, dlaczego samorzady chcą zamykać szkoły. Nie jest

to problem, który można przypisać Karcie Nauczyciela, rzekomo „rujnującej samorządy”: władze lokalne z dochodów własnych finansują tylko 20% kosztów oświaty i wychowania, przy czym udział własnych wydatków na oświatę stanowi przeciętnie 6% lokalnego budżetu. Nie jest to wyłącznie problem nakładów i podziału środków, ale problem neoliberalnej racjonalności rządzenia.

W konserwatywnym czy liberalnym państwie opiekuńczym oraz w państwie socjalistycznym sfera społeczna była organizowana zgodnie z logiką zabezpieczania potrzeb, co gwarantowało prawa socjalne. Neoliberalne państwo, które postrzega swoją rolę jako menedżer wzrostu gospodarczego, likwiduje formy własności wspólnej i stoi na straży własności prywatnej oraz minimalizuje i przeobraża sferę społeczną. Neoliberalizm jednak zapotrzebował na szeroko rozumianą opiekę bynajmniej nie znika, oznacza to przerzucanie obowiązków i kosztów opieki na rodziny, szczególnie na barki kobiet z gospodarstw domowych o niskich i średnich dochodach.

Optyka opieki/reprodukcji społecznej pozwala pokazać związki między przeobrażeniami rynku pracy w edukacji, reformami edukacji i założeniami, metodami i skutkami reform w innych dziedzinach sfery społecznej, np. w reformach ochrony zdrowia. Pozwala też połączyć różne walki (np. pielęgniarek, nauczycielek, opiekunek, pracownic administracyjnych, sprzątaczek, badaczek akademickich i kucharek) o odzyskanie obywatelstwa, dóbr wspólnych i o solidarnościowe rozwiązania w sferze społecznej. Obywatelstwo jest relacją między państwem a obywatelkami i obywatelami. Neoliberalne reformy edukacji, ochrony zdrowia, pomocy socjalnej, komercjalizacja i wyprzedaż własności komunalnej czy zapaść w mieszkalnictwie efektywnie pozbawiają nas praw obywatelskich. W tym sensie walka o Kartę Nauczycielki jest częścią walki o prawa nas wszystkich.

Wersja skrócona. Cały artykuł można przeczytać na stronie: www.ekologiasztuka.pl/think.tank.feministyczny

Ewa Charkiewicz jest interdyscyplinarną badaczką, ekolożką, założycielką Think Tanku Feministycznego, inicjatorką lewicowej sieci feministycznej Rozgwiazda. współredaktorką antologii tekstów Gender i ekonomia opieki.

Symbioza ekologii i demokracji

Ewa Koś, zielona radna Sejmiku Zachodniopomorskiego, w rozmowie z Bartłomiejem Kozkiem.

Bartłomiej Kozek: Z jakimi problemami przychodzą do Ciebie ludzie?

Ewa Koś: Najczęściej chodzi o problemy na styku ekologii i demokracji. Często spotykam się z lekceważeniem głosu lokalnej społeczności w sporach między władzą a mieszkańcami. W wielu miejscowościach konsultacje społeczne odbywają się na niby, demokracja tylko z nazwy jest demokratyczna, a wszystko to w sosie propagandy sukcesu.

BK: Podaż jakieś przykłady?

EK: Choćby Irńsko, miejscowość na pograniczu Parku Irńskiego, z jeziorem o wyjątkowej czystości wody. Burmistrz, w ramach „walki z bezrobociem” chce uruchomić na terenie gminy żwirownię, która w opinii przeciwników spowoduje degradację akwenu wodnego cennego przyrodniczo i turystycznie. Prowadzi to do torpedowania działań mieszkańców, dezinformacji, w ostateczności do aktywnych działań przeciwko lokalnemu referendum w tej sprawie.

Albo Śniatowo – wioska popegeerowska w pobliżu Kamienia Pomorskiego z trudem dźwigająca się z zastoju po likwidacji gospodarstw rolnych. Po „nibykonsultacjach” społecznych (komunikaty przekazywane przez gminę w mało zrozumiałym sposobie, czas ogłoszenia odpowiednio dobrany itp.) i przy wykorzystaniu faktu, że mieszkańcy nie umieli się skutecznie zorganizować, gminna władza „funduje” projekt wielkiego składowiska oraz spalarnię śmieci.

Z kolei w Niechorzu, małej miejscowości nadmorskiej w powiecie gryfickim, która zachowała jeszcze swój lokalny urok, ktoś wymyślił, że dzięki kolejce gondolowej postawionej w pasie nadmorskim wzdłuż wydm i plaży atrakcyjność turystyczna tego miejsca wzrośnie. A gminna władza uzasadnia, że to rozwiązanie bolączki finansowej gminy, broniąc się przed działaniami osób, chcących chronić przyrodę, krajobraz i prywatność swoją i wczasowiczów.

Jeszcze inny przykład to Gąski – piękna miejscowość turystyczna nad Bałtykiem. To właśnie tutaj Polska Grupa Energetyczna Energetyka Jądrowa rusza z całym swoim zapleczem finansowym i biurokratycznym, by budować pierwszą w Polsce elektrownię jądrową.

BK: Jak skuteczne są w takich przypadkach protesty?

EK: Organizujące się grupy sprzeciwu to często ludzie, którzy mają wiele zapału i chęci do walki o swoje miejsce do życia, ale nie wiedzą, jak mogą skutecznie działać. W gąszczu przepisów i procedur administracyjnych ginie istota ich problemu, a źle skierowane pismo czy nieodpowiednio określony interes prawny kończy się odrzuceniem skargi przez wyższe ciała administracyjne.

BK: Gospodarka jest twoim konikiem, zatem nie powinno sprawić ci trudu wymienienie silnych stron twojego województwa i sposobów na ich wykorzystanie do poprawy jego sytuacji ekonomicznej...

EK: Przede wszystkim turystyka wodna pozwoliłaby wykorzystać potencjał, jakie stwarza dość płytki Zalew Szczeciński o dobrych warunkach wietrznych dla rozwoju żeglarstwa, także surfing, tak, jak to ma miejsce w Zatoce Puckiej. Przypomnę, że z Berlina do Szczecina i dalej Odrą przez Zalew nad Bałtyk można przepłynąć kanałami. To piękny szlak, wciąż mało reklamowany. Z kolei budowa Muzeum Morskiego w Szczecinie, projekt odkładany od lat, zawsze z powodu niewystarczających środków, jest niezbędna i dla edukacji, i dla turystyki edukacyjnej.

Region nie może się rozwijać bez dobrych połączeń kolejowych w województwie, bez połączenia kolejowego z lotniskiem w Goleniowie, połączenia z lotniskiem w Berlinie, połączenia z Warszawą, połączenia z Trójmiastem... Dzisiaj podróż koleją ze Szczecina do Warszawy trwa 6-7 godzin, a na lotnisko w Berlinie oddalone o 150 km od Szczecina jeździ się mikrobusami. Konieczna jest też odbudowa połączeń autobusowych, tak aby żadna wieś ani miejscowość nie była odcięta od pracy, edukacji, kultury dostępnej w większych ośrodkach.

Cała rozmowa: www.zielonewiadomosci.pl/zieloni-radni/

Warszawa bez pomysłu

Radny m.st. Warszawy Krystian Legierski w rozmowie z Bartłomiejem Kozkiem.

BK: Podczas swojej walki o reelekcję Gronkiewicz-Waltz zapowiadała, że o ile przez pierwszą kadencję zajmowała się głównie wielkimi inwestycjami, w trakcie kolejnej skupi się na poprawie jakości życia w mieście. Dotrzymała słowa?

KL: Powiem tak: na Pradze Północ jest ok. 3 tys. lokali komunalnych bez toalet (ze wspólną toaletą na korytarzu) i ok. 4 tys. bez łazienek. Rozmawiając z mieszkańcami tych lokali, usłyszałem historie o tym, że często w nocy ludzie przez kilka godzin siedzą zamknięci w mieszkaniu z pełnym pęcherzem, ponieważ boją się wyjść do toalety, do której muszą przejść przez korytarz, gdzie „imprezują” grupy pijanych osób (najczęściej takie mieszkania znajdują się w kamienicach bez domofonów). Albo o tym, że rano jest tak duża kolejka do jednej wspólnej dla kilku mieszkań toalety na korytarzu, że żeby zdążyć na czas do pracy, to trzeba załatwiać swoje potrzeby na podwórku. Obietnice poprawy jakości życia w mieście w tym kontekście chyba nie wymagają komentarza...

BK: Mieszkalnictwo było jednym z głównych tematów twojej kampanii wyborczej. Czy zdobycie przez siebie mandatu radnego oraz wzrost znaczenia ruchu lokatorskiego zmobilizowały władze miasta do ulepszenia polityki mieszkaniowej?

KL: Polityka mieszkaniowa w Warszawie nadal jest kształtowana przez deweloperów i nieprędko to się zmieni. Pani prezydent nie ma daleko sięgnięgo i szeroko zakrojonego programu, który miałby doprowadzić do stworzenia w stolicy całościowej polityki mieszkaniowej. Taka polityka mogłaby znacząco wpłynąć na rynek poprzez obniżenie stawek czynszów, ale przede wszystkim skutecznie pomóc dziesiątkom tysięcy mieszkańców Warszawy znajdujących się w trudnej sytuacji mieszkaniowej. Jest np. wiele osób w najbardziej aktywnym wieku między 25 a 40 rokiem życia, które nie mają swojego mieszkania i wynajmują lokum wspólnie ze znajomymi. Zdarza się, że nie mają nawet własnego pokoju. Jak żyjąc w takich warunkach myśleć np. o założeniu rodziny? Od dwóch lat próbuję przekonać rządzącą PO, że wprowadzenie odpowiedniej polityki lokalowej jest sprawą niezwykle palącą i ważną.

BK: Czy otrzymujesz dużo próśb o interwencję ze strony mieszkańców i mieszkańców miasta? Czego te prośby dotyczą i w jaki sposób starasz się pomóc?

KL: Najczęściej dotyczą spraw mieszkaniowych, ale też związanych z uchwalaniem miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego. Sporo mam też spraw dotyczących zwyczajnie pomocy w przeprowadzeniu postępowania prowadzonego przez urząd. Najczęściej moja pomoc polega na uczestniczeniu w spotkaniach z urzędnikami i pilotowaniu spraw. A jeśli to nie przynosi efektu, interweniuję u merytorycznych dyrektorów kierujących daną jednostką urzędu miasta.

BK: Czy dostrzegasz wzrost znaczenia ruchów społecznych w Warszawie – od lokatorskiego aż po protestujących przeciwko zamykaniu szkół i prywatyzacji miejskich stołówek?

KL: Niestety jest z tym różnie. W niektórych przypadkach spontanicznie powstający ruch szybko wygasa, w innych ruchy są bardzo antysystemowe i nie są zainteresowane żadną współpracą. Ale są też takie, które konsekwentnie podejmują określone działania, zmierzając do realizacji założonych celów. Przykładem może być Inicjatywa Warszawa 2020, walcząca o uchwalenie Programu Rozwoju Kultury, a po jego uchwaleniu o jego wdrażanie i przestrzeganie. Podobnie w ruchu lokatorskim organizacje takie jak Komitet Obrony Lokatorów czy Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów, walczące o wprowadzenie racjonalnych rozwiązań w polityce dotyczącej zarządzania lokalami komunalnymi.

Cała rozmowa: www.zielonewiadomosci.pl/zieloni-radni/

Mniejszość w szkole

Lech M. Nijakowski

Mniejszości narodowe i etniczne podlegają nieustannej spontanicznej presji asymilacyjnej. Dominująca kultura, w tym popularna, szkolnictwo powszechne, urzędy wymagają od członków mniejszości nie tylko biegłego posługiwania się oficjalnym językiem, ale również rozpowszechniają wyobrażenia składające się na tożsamość większości. Dlatego w nowoczesnych państwach szkolnictwo powszechne staje się przestrzenią, w której ważą się losy mniejszości. Bez wspieranej przez państwo oświaty mniejszościowej stopniowo zanikanie wielu wspólnot etnicznych jest najczęściej nieuchronnym procesem.

Wedle wyników ostatniego spisu powszechnego (z 2011 r.), w Polsce zamieszkuje prawie półtora miliona osób, które odpowiadając na pierwsze lub drugie pytanie spisowe zadeklarowały inną niż polska identyfikację narodowo-etniczną, co stanowi 3,81% ludności ogółem. Wyłącznie niepolską identyfikację zadeklarowało 597 tys. osób (1,55%). Polska jest krajem w bardzo wysokim stopniu homogenicznym narodowościowo. Nie oznacza to jednak, że państwo zwolnione jest z obowiązku wspierania mniejszościowej oświaty.

Zapewnienie członkom mniejszości wolności zachowania i rozwoju własnego języka, zachowania obyczajów i tradycji oraz rozwoju własnej kultury, a zatem szeroko rozumianej tożsamości etnicznej i narodowej, jest powinnością władzy publicznej, określoną przez Konstytucję RP (art. 35). Swoistą „małą konstytucją” mniejszości jest ustawa z 6 stycznia 2005 r. o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym. Prawa oświatowe mniejszości nie są jednak w tym akcie szczegółowo opisane. Przyjęto bowiem zasadę, aby nie wyłączać oświaty mniejszościowej z ogólnego systemu szkolnictwa powszechnego. Dlatego zapisano, że realizacja prawa osób należących do mniejszości do „nauki języka mniejszości lub w języku mniejszości” oraz ich prawa do „nauki historii i kultury mniejszości” odbywa się na zasadach i w trybie określonych w ustawie z 7 września 1991 r. o systemie oświaty.

Mniejszości w systemie oświaty

Ustawa o systemie oświaty stanowi, że szkoła i placówka publiczna „umożliwia uczniom podtrzymywanie poczucia tożsamości narodowej, etnicznej, językowej i religijnej, a w szczególności naukę języka oraz własnej historii i kultury” (art. 13 ust. 1). Dotyczy to również mniejszości narodowych i etnicznych. Dziecko może uczestniczyć w odpowiednich zajęciach jedynie na pisemny wniosek rodziców (prawnych opiekunów) ucznia, składany na zasadzie dobrowolności. Konieczność składania wniosku była niejednokrotnie krytykowana przez środowiska mniejszości, ale jest to jedyna racjonalna podstawa organizowania specjalnych zajęć dla mniejszości.

Szczegółowo sprawy dotyczące oświaty mniejszości regulują rozporządzenia. Przedszkola, szkoły i placówki publiczne umożliwiają uczniom należącym do mniejszości podtrzymywanie i rozwijanie poczucia tożsamości narodowej, etnicznej i językowej przez prowadzenie nauki języka mniejszości narodowej lub etnicznej oraz języka regionalnego, a także nauki własnej historii i kultury mniejszości. Placówki te mogą także prowadzić naukę geografii państwa, z którego obszarem kulturowym utożsamia się mniejszość narodowa, zajęcia artystyczne lub inne dodatkowe zajęcia. Podręczniki szkolne i książki pomocnicze do kształcenia uczniów w zakresie niezbędnym do podtrzymywania poczucia tożsamości narodowej, etnicznej i językowej mogą być – i są – dofinansowywane z budżetu państwa.

Romowie

Największe problemy w Polsce mają Romowie. Dotyczą one sytuacji mieszkaniowej



foto: Flickr by Alain Bachellier

wej (niektóre wspólnoty romskie mieszkają w osadach własnoręcznie skleconych z dostępnych materiałów), bezrobocia, opieki zdrowotnej, konfliktów z polską większością itd. Wedle ostatniego spisu powszechnego w Polsce mieszka 17 tysięcy osób, które podały identyfikację romską, w tym jedynie identyfikację romską zadeklarowało 10 tysięcy badanych.

Sytuacja mniejszości romskiej – w porównaniu z innymi żyjącymi w Polsce mniejszościami – jest paradoksalna. Granice między Polakami i Romami są na tyle głębokie, obwarowane różnymi negatywnymi stereotypami i uprzedzeniami, że dla większości i mniejszości problemem jest nie zachowanie granicy międzygrupowej i tożsamości (dlatego Romowie nie muszą się uczyć swojego języka ojczystego w szkołach), ile raczej faktyczne włączenie. Jest to proces silnie konfliktowy. W szczególności rozwój organizacji romskich i przymus wypełniania przez nie standardów państwa prawa, prowadzi do licznych napięć i sporów. Konflikty biorą się ze zderzenia się kultury polskiej większości z kulturą romską oraz z naturalnej tendencji modernizacyjnej sprawiającej, że zmieniają się aspiracje i oczekiwania młodych Romów. Przykładem jest zmiana stosunku do wykształcenia – coraz więcej Romów kontynuuje kształcenie, także na poziomie szkół wyższych.

Przez lata podstawowym problemem było frekwencja dzieci romskich w szkole. Próbowano sobie z tym poradzić na różne sposoby. Jednym z nich było utworzenie osobnych klas romskich. Dziś eksperyment ten jest krytykowany przez wielu Romów i ekspertów edukacyjnych. Choć klasy romskie zwiększały frekwencję szkolną, to jednak zarazem utrzymywały dystans między młodymi Polakami a Romami.

Wraz z wprowadzeniem programu na rzecz społeczności romskiej sytuacja zaczęła się poprawiać. W szczególności wprowadzenie instytucji „asystenta edukacji romskiej” znacząco zwiększyło frekwencję szkolną. Asystent – osoba pochodzenia romskiego, uznawana przez dzieci romskie za „swojego” – udziela uczniom romskim pomocy w kontaktach ze środowiskiem szkolnym oraz współdziała z ich rodzicami, nauczycielami i dyrektora.

Nie znaczy to jednak, że problemy zniknęły. Szczególnie niepokojącym zjawiskiem jest to, że wśród dzieci uzyskujących w Poradniach Psychologiczno-Pedagogicznych orzeczenie o niepełnosprawności intelektualnej (upośledzeniu umysłowym) znaczący odsetek stanowią dzieci romskie. Można mówić o ich wyraźnej nadreprezentacji. Nie sposób uznać, że dzieci romskie są częściej niepełnosprawne niż dzieci polskie. Takie wyniki mogą być następstwem stosowania technik badawczych, które nie uwzględniają specyfiki kulturowej mniejszości, co prowadzi do ich „testowej dyskryminacji”. Może być też tak, o czym niejednokrotnie mówią sami Romowie, że to rodzicom zależy na uzyskaniu takiego orzeczenia. Dzięki niemu bowiem dziecko może się uczyć w szkołach specjalnych, gdzie warunki – w tym wszechstronna opieka – są o wiele lepsze.

Szkoły te nie są wśród Romów stygmatyzowane. Ponadto rodzice takiego dziecka uzyskują wsparcie finansowe.

O potrzebie edukacji na temat mniejszości

Zgodnie z prawem w pracy dydaktyczno-wychowawczej szkoły publiczne zapewnić mają podtrzymywanie kultury i tradycji regionalnej. Minister właściwy do spraw oświaty i wychowania „podejmie działania w celu popularyzacji wiedzy o historii, kulturze, języku i o tradycjach religijnych mniejszości narodowych i etnicznych oraz społeczności posługującej się językiem regionalnym”. Ustawa nakazuje ministrowi nie tylko dbałość o przekaz wiedzy w środowiskach mniejszości, ale także wśród wszystkich uczniów, którzy powinni poznać i zrozumieć specyfikę społeczności tradycyjnie zamieszkujących Rzeczpospolitą Polską.

Edukacja obejmuje nie tylko przekazywanie wiedzy, ale również kształtowanie cech, kompetencji i postaw. Kształtowanie postaw otwartości i tolerancji wobec mniejszości powinno być częścią ogólnego kształcenia ucznia, który powinien rozumieć, że dyskryminacja i nietolerancja nie są uprawnione wobec żadnej z grup. Nie może się to jednak ograniczać do ogólnych zasad czy abstrakcyjnych przykładów. Ucznia należy konfrontować – zwłaszcza w trybie warsztatów, symulacji i pracy w grupach – z konkretnymi przypadkami spotkań i zderzenia kultur. Jedynie rozbudzenie empatii może doprowadzić do trwałej zmiany postaw. Przykładem negatywnej praktyki w tym zakresie było utrzymywanie osobnych klas dla młodzieży romskiej.

Analizując deklarowane postawy wobec innych narodowości widzimy, że największą niechęć budzą grupy w wyrazisty sposób różniące się – według potocznych opinii Polaków – od polskiej większości. Według badań CBOŚ z 2012 r. niechęć przeważa nad sympatią w odniesieniu do pięciu kategorii etnicznych: Turków, Libijczyków, Rumunów, Romów i Arabów. Wobec Romów i Arabów niechęć jest wyrażana dwukrotnie częściej niż sympatia. Przez wielu badanych Rumuni są najprawdopodobniej utożsamiani z Romami, którzy to tradycyjnie zamykają ranking narodów obdarzanych sympatią. Respondenci nie mają oporów przed deklarowaniem swojej niechęci do tej grupy. W tym przypadku przekazywanie wiedzy o specyfice grupy romskiej nie wystarcza. Niezbędne jest przede wszystkim inicjowanie stałych kontaktów między dziećmi romskimi i nie-romskimi, gdyż izolacja grupy romskiej w wielu wymiarach utrudnia kształtowanie postaw otwartości i praktyczne weryfikowanie negatywnych stereotypów. Niechęć do obcych źle wróży przyszłym relacjom z tzw. „nowymi mniejszościami”, imigrantami z krajów różniących się znacząco kulturą od Polski.

Lech M. Nijakowski jest adiunktem w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, wykładowcą Collegium Civitas i stałym doradcą Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP.

Okrutny optymizm hipoteki

Dr Mikołaj Lewicki, socjolog zajmujący się badaniem osób z kredytem hipotecznym, w rozmowie z Adamem Ostolskim.

Adam Ostolski: W jaki sposób wzięcie kredytu hipotecznego zmienia życie człowieka?

Mikołaj Lewicki: Pierwsze wrażenie jest takie, że wzięcie kredytu hipotecznego to jest moment, kiedy człowiek ucina relacje, które do tej pory osadzały go w pewnym środowisku, przede wszystkim rodzinnym, ale też w środowisku pracy i stylu życia. I wysyła w zimny świat kapitalizmu. W badaniach, które robiłem wspólnie z Mateuszem Halawą, ludzie z kredytem mówią o sobie często: „stałem się dojrzały, zacząłem przewidywać, jestem dużo ostrożniejszy”. Te świadectwa wpisują się w model mówiący, że kredyt hipoteczny tworzy nowego człowieka, który jest samosterowny, wydaje mu się, że wszystko od niego zależy, nastawia się na dyscyplinowanie samego siebie.

Z drugiej strony w wypowiedziach osób z kredytem przebiega albo gorzki optymizm, albo nutka ciągłego pesymizmu i strachu. To poczucie, że jest się dojrzałym, odpowiedzialnym, oznacza, że twoje życie jest wrzucone w ramy 30 lat ciągłego planowania, podczas gdy często musisz wykonywać ruchy z miesiąca na miesiąc.

AO: Ucięcie dotychczasowych więzi chyba tego nie ułatwia?

ML: Często jest tak, że ci ludzie po prostu na nowo układają swoje relacje. Np. utrzymują kredyt hipoteczny dzięki zasobom rodziców. Jak młodzi ludzie muszą pracować, żeby zarobić na kredyt hipoteczny, to oczywiście funkcje wychowawcze przejmują dziadkowie. A jak nie funkcje wychowawcze, to część budżetu domowego. To się często ukrywa w darach, w stałym dostarczaniu jakichś niezbędnych środków, np. pieluszek. Przede wszystkim rzeczy dla dzieci, co pozwala przekazywać te dary w sposób dyskretny.

AO: Czyli miała być autonomia, a jest ciągła zależność od rodziców?

ML: Wiele zależy od tego, jaki projekt życiowy ludzie chcą osiągać. Ci, co uważają, że autonomia jest najważniejsza, oczywiście będą dążyć do tego, żeby odciąć te więzi. To zwłaszcza dotyczy mężczyzn, którzy przejmują na siebie bezlitosną odpowiedzialność za siebie i swoich bliskich, co ich niesamowicie dużo kosztuje. Np. jeśli mają kredyt we frankach i nagle skacze im rata, to biorą następne prace, rezygnują z życia intymnego i osobistego, z samorealizacji – na rzecz rodziny.

Biorąc kredyt, myśleli „teraz będę autonomiczny, ze swoją partnerką, będę żyć tak, jak chcę”, a w rzeczywistości zaczynają realizować model „żyję i pracuję po to, żeby model dzieci miały lepiej”. Ich cele są odsuwane w przyszłość.

AO: Nastawienie na przyszłość oznacza założenie, że życie da się racjonalnie zaplanować?

ML: Problemem są zdarzenia losowe. I nie chodzi o wzrost kursu franka. Wyobraź sobie, że jesteś planującym człowiekiem, który wziął kredyt hipoteczny z wyobrażeniem pewnego marginesu bezpieczeństwa. Ale zamiast jednego dziecka rodzą się tobie trojaczki... Człowiek miał zaplanowane racjonalnie życie i nagle ma trojaczki. Wtedy racjonalne planowanie się sypie.

Sytuacja, kiedy rośnie ci rata albo zdarza się coś nieoczekiwanego, to jest moment niezwykłego napięcia w relacjach intymnych. Mężczyzna z trojczkami ma takie wyobrażenie męskiego, do pewnego stopnia patriarchalnego modelu, gdzie facet odpowiada za swoją rodzinę. Ale sprawy finansowe zaczynają być bardziej złożone... Budżet domowy prowadzi jego żona, to ona ma arkusz kalkulacyjny, w którym zapisuje wszystkie wydatki i je planuje. To charakterystyczne, kobiety w Polsce jako menedżerki gospodarstwa rodzinnego nie tylko odpowiadają za zakupy, za racjonalną konsumpcję, porównywanie cen, bycie zaradną konsumentką, ale odpowiadają też za dług i za oszczędności.

W rozmowach z kobietami okazuje się, że to one mają nawyk oszczędzania na czarną godzinę. W sytuacjach losowych to one podejmują pracę albo skracają czas na wychowanie dziecka. W naszych wywiadach kilkakrotnie spotkaliśmy się z przypadkiem odłączenia się od dziecka w związku ze wzrostem rat kredytu. Niektóre osoby bardzo to przeżywają.

AO: Kto w ogóle bierze kredyty hipoteczne?

ML: Są dwa modele. Jest model pary, która chce się uniezależnić, zacząć nowe życie. I to jest decyzja moralna, nie finansowa. Nie widzisz 30 lat spłacania długu, to jest dla ludzi abstrakcyjne. Nie są w stanie sobie wyobrazić siebie za 30 lat. Ale są w stanie sobie wyobrazić, że spłata rat kredytu jest weryfikacją ich projektu dobrego życia. To być może wyjaśnia, dlaczego w Polsce póki co zadłużenie hipoteczne jest najmniej ryzykowne dla banków. Odsetek złych długów jest najmniejszy wśród wszystkich rodzajów długów.

AO: A drugi model?

ML: Drugi model to ludzie realizujący ideał jednostki, która jest „przedsiębiorstwem JA”. Kiedy wiąże z kimś, muszą zdecydować, czy angażować tę drugą osobę w swój dług czy nie. Albo: co się dzieje, kiedy oboje mamy kredyty hipoteczne i zaczynamy ze sobą żyć? To jest znowu pytaniem moralnym: Czy chcesz mi powierzyć swoją odpowiedzialność? Czy chcesz kogoś wciągnąć w twój dług?

Wyjście z długu, który zaciągnęło się w parze, jest niesłychanie trudne. Nie tylko z powodów finansowych. Procedury, zachowania instytucji, banku, notariuszy są takie, żeby cię odwieść od tego... Dlatego kredyt hipoteczny łączy ludzi w takim okrutnym optymizmie.



AO: Takimi jednostkami biorącymi kredyty są częściej kobiety czy mężczyźni?

ML: Opowiem ci taką historię. Kobieta bierze kredyt – formalnie z mężem, ale w rzeczywistości samotnie, bo mąż pracuje za granicą. Postanowili razem kupić mieszkanie itd. W końcu znalazła mieszkanie, dogadała się ze swoim mężem, który akurat był w Polsce, że je kupują, podjęta została decyzja, mąż po konsultacji z bankiem zostawił jej papiery potrzebne do zawarcia kontraktu, po czym się okazało, że to nie wystarczy.

Procedura wygląda tak: znajdujesz mieszkanie, podpisujesz umowę przedwstępną z deweloperem i dajesz mu zaliczkę, żeby to mieszkanie było dla ciebie zaklepane. Zaczynasz procedurę kredytową, ale ta procedura nie musi zakończyć się sukcesem, przynajmniej nie w pierwszym banku, do którego startujesz. Zaliczka jest z jakimś terminem upływalności, np. pół roku. Idziesz do jednego banku, procedura trwa trzy miesiące, idziesz do drugiego, bank ci odmawia po dwóch miesiącach. Zostaje ci miesiąc, żeby znaleźć jakikolwiek bank i nie stracić zaliczki.

AO: To są duże kwoty?

ML: W stosunku do całego kredytu nie są wielkie, ale dla tych ludzi to są namacalne pieniądze. Nie są to abstrakcyjne dziesiątki tysięcy, które będziesz spłacać przez 30 lat. To jest te 20 tysięcy, które odkładałeś przez całe dotychczasowe życie.

To generuje potworny stres. Ta kobieta, kiedy dowiedziała się, że nie może podpisać kredytu, była właśnie w ciąży, zaczęła mieć zagrożoną ciążę. Zapytałem ją: „A nie rozmawiała pani z mężem?”. A ona na to: „Absolutnie nie. Jestem nauczona, że faceci nie są od rozmowy, empatii, tylko od podejmowania decyzji i podawania rozwiązań. Wiedziałam, że nie mogę się z nim podzielić tym stresem, póki tego nie załatwię”.

AO: Udało się jej?

ML: Jej mąż przyjechał do kraju i udało im się podpisać umowę.

AO: Dlaczego ludzie decydują się na kredyt hipoteczny, a nie wynajem?

ML: W naszych rozmowach bardzo rzadko zdarzało się, że lu-

dzie mają to ułożone od strony kalkulacyjnej, że np. wiedzą, że rata kredytu jest mniejsza niż wynajmowanie mieszkania. Ludzie z hipoteką nie traktują mieszkania jako towaru. Ważne jest moralne zaangażowanie we własność. Zawsze padało to zdanie, że lepiej jest mieć swoje, niż płacić komuś. Nie pojawiał się taki punkt widzenia, że ktoś chce być mobilny, i nie chce brać na siebie zobowiązania, które będzie go uziemiać. Bo kredyt oczywiście uziemia...

AO: Obiegowa opinia mówi, że jest się wolnym człowiekiem, póki się nie kupi mieszkania na kredyt.

ML: Ja bym się z tym zgodził

AO: A jak to pogodzić z autonomią, o której mówiłeś?

ML: Powiem ci, jak godzą to ludzie. Ich wyobrażenie dobrego życia zmienia się pod wpływem zdarzeń losowych. Muszą zrezygnować z wymiaru samorealizacji i nastawić się na odległą przyszłość, pod hasłem „pracuję i zarabiam, spłacam kredyt hipoteczny dla moich dzieci”. To też powoduje, że zapominają o tym, że na początku chodziło o autonomię.

AO: Jak to wygląda na poziomie makro?

ML: W latach 2005–2008 banki nadmuchały bańkę kredytów hipotecznych w Polsce. Kredyt dostawało się relatywnie łatwo, to nie był tylko kredyt wyższej klasy średniej – ludzi z wielkich miast, o dużych zarobkach. To był kredyt urzędników, często ludzi z mniejszych miejscowości.

AO: Ilu osób w Polsce to dotyczy?

ML: W tej chwili jest ok. 1,5 mln gospodarstw domowych z kredytem hipotecznym, ponad połowa z nich ma kredyt we frankach. Banki zachęcały do brania kredytu we frankach, było go dużo łatwiej dostać. Często brali go ludzie, którzy byli bardziej narażeni na niepewność, wahania kursowe itp. Ale o tym się wtedy nie mówiło. Nie mówiło się o ryzyku kursowym...

AO: Wyjaśnijmy: spread to różnica między kursem franka a ceną w złotych ustalaną przez bank...

ML: Tak. W gruncie rzeczy to takie dodatkowe oprocentowanie.

Tych ludzi było dużo. A ta bańka nie pękła. Dlaczego? Moim zda-

niem nie pękła przez to moralne zaangażowanie, przez projekty, które ludzie sobie potworzyli. One pochodzą z wyobrażeń na temat własności.

AO: Jaka jest rola tych kredytów w gospodarce?

ML: Co zaskakujące, w Polsce kredyt indywidualny jest ważną częścią kapitału banków. Jest zdecydowanie ważniejszy niż kredyty dla przedsiębiorstw czy samorządów. Z kolei 60% w obrębie kredytu indywidualnego stanowi kredyt hipoteczny. Ok. 250 tys. gospodarstw domowych ma tzw. „negatywny LTV” (Loan-to-Value), co oznacza, że wielkość zobowiązania kredytowego jest większa niż wartość mieszkania.

Gdyby się okazało, że w czasie kryzysu ludzie masowo przestali by spłacać te kredyty, wtedy polski sektor bankowy czy finansowy byłby w poważnych tarapatkach.

AO: A jak to jest w innych krajach?

ML: Na Węgrzech inna konstrukcja kredytu sprawiła, że nagle zle długi w czasie kryzysu przekroczyły 10 proc. i państwo musiało coś z tym zrobić. Problem długu przestał być prywatnym problemem kilkuset tysięcy ludzi, stał się problemem ogólnonarodowym. Zaczęły się zawirowania na rynku finansowym, ludzie masowo tracili mieszkania...

AO: A w Polsce to jest po prostu problem prywatny czy to jest niewyartykułowany problem narodowy?

ML: Oczywiście, że jest niewyartykułowanym problemem narodowym. Nikt ludziom, którzy mają swoje moralne projekty dobrego życia, nie powiedział, że mogą je zrealizować w inny sposób. Są pchani ku temu, żeby mieć takie poczucie bezalternatywności.

AO: Pytanie na koniec: często przeciwstawia się sobie racjonalnych ludzi z kredytem hipotecznym i nieracjonalnych, którzy biorą „chwilówki”, aby zaspokoić swoje kaprysy.

ML: Ludzie nie biorą chwilówek, żeby kupić przysłowiową plazmę. Biorą je w sytuacji zdarzeń losowych, nie mając innego wyjścia. Klientem biorącym taki kredyt może być np. kobieta zostawiona z długiem przez męża albo ktoś, kto poważnie zachorował. W ogóle najczęstszą przyczyną „złych długów” w Polsce jest choroba.

Francja leczy „złe długi”

.....
Ewa Sufin-Jacquemart

W dzisiejszym świecie bardzo łatwo popaść w długi. Współczesna gospodarka oparta jest na stałym wzroście, a jej nieodłącznym elementem jest tworzenie pieniądza poprzez kredyty bankowe. Banki robią, co mogą, aby sprzedać klientom usługi kredytowe, nawet osobom potencjalnie zagrożonym niemożnością ich spłaty. Dotyczy to w szczególności kredytów konsumenckich, w których wysokie ryzyko kompensuje się wysokimi stopami oprocentowania.

Jednocześnie mamy pogłębiający się kryzys gospodarczy. Wzrasta zagrożenie bezrobociem, stałe umowy o pracę stają się coraz rzadsze, brak miejsc pracy dla młodych, a samozatrudnienie coraz częściej nie umożliwia zdobycia środków do życia. Do tego rosną koszty utrzymania, zwłaszcza ceny energii i żywności. Nic dziwnego, że rośnie liczba osób znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej, które szukają ratunku poprzez zaciąganie pożyczek i kredytów, jeden kredyt służący spłacie drugiego, co przy braku stałych i wystarczających dochodów wpędza rodziny w spiralę zadłużenia. Wzmagają to ryzyko wszelkie trudności rodzinne jak choroba, rozwód czy śmierć małżonka.

W państwach takich jak Polska jednostkę obarcza się pełną odpowiedzialnością za własną sytuację materialną. Osoby, które popadły w spiralę zadłużenia, są poddane bezwzględnej presji firm windykacyjnych. Jeżeli nie uzyskają pomocy rodziny lub przyjaciół, wówczas albo emigrują albo skazane są na społeczną marginalizację. Są jednak w Europie państwa bardziej

przywiązane do sprawiedliwości społecznej. Biorą one w ochronę swoich obywateli, w szczególności tych najsłabszych, wypracowując procedury wyjścia z impasu dla dotkniętych nadmiernym zadłużeniem. Tak jest we Francji, gdzie od 1990 r. obowiązuje „procedura nadmiernego zadłużenia”.

Organem odpowiedzialnym za informację i przyjmującym wnioski jest Banque de France, instytucja państwowa pełniąca również funkcję banku centralnego. Do rozpatrywania wniosków powołane są Komisje Nadmiernego Zadłużenia, co najmniej jedna w każdym departamencie. Przewodniczącym komisji jest przedstawiciel administracji państwowej w departamencie (prefekt lub jego przedstawiciel), wiceprzewodniczącym jest departamentalny przedstawiciel skarbu państwa, a przedstawiciel Banque de France pełni funkcję sekretarza. Członkami są dwie osoby powołane przez prefekta departamentu: jedna na wniosek stowarzyszenia instytucji kredytowych, druga na wniosek stowarzyszeń konsumentów i opiekuńczych organizacji społecznych. Dodatkowo w pracach komisji uczestniczy dwóch ekspertów pełniących funkcję doradcą: jeden o kompetencjach w zakresie ekonomii społecznej i rodzinnej, drugi w dziedzinie prawa. W procedurze uczestniczy również sędzia wykonawczy, którym jest sędzia pierwszej instancji.

Procedura dotyczy osób fizycznych w sytuacji nadmiernego zadłużenia pozaprofesjonalnego. Sytuację nadmiernego zadłużenia osób fizycznych wyznacza oczywiście brak możliwości, u dłużnika będącego w dobrej wierze,

wywiązania się ze wszystkich zobowiązań finansowych (długów), należnych i naliczonych. Ewentualną złą wolę dłużnika muszą udowodnić wierzyciele.

Na podstawie dokumentów dostarczonych wraz z wnioskiem sekretariat Komisji Nadmiernego Zadłużenia ustala całkowite zadłużenie danej osoby i oblicza jego (1) „zdolność spłaty” oraz

(2) „kwotę możliwą do egzekucji”. Zdolność spłaty oblicza się według zasad ustalonych przez Banque de France: suma przychodów minus suma obciążeń, będących mieszaniną obciążeń ryczałtowych i rzeczywistych (może być ujemna). Z kolei kwota możliwa do egzekucji jest wyznaczona przez prawo: suma przychodów minus minimalna kwota na życie określona jako procent przychodów. Z porównania (1) i (2) przyjmuje się kwotę niższą.

Po analizie wniosku Komisja uznaje go za uzasadniony lub nie. W pierwszym przypadku automatycznie wstrzymane są wszystkie procedury windykacyjne. W razie konieczności Komisja ma również prawo zwrócić się do sędziego o wstrzymanie procedury eksmisji dłużnika z mieszkania. Komisja ma uprawnienia do modyfikacji harmonogramu spłat poszczególnych długów, do umorzenia odsetek karanych czy zmniejszenia oprocentowania. Na ogół Komisja podejmuje działania pojednawcze i proponuje „plan naprawczy” na maksymalny okres 8 lat. W sytuacji „nieodwracalnie zaburzonej” najczęściej gdy wnioskodawca ma negatywną zdolność spłaty, Komisja zwraca się do sędziego o zastosowanie „procedury osobistego odzyskania równowagi”. Dla osób posiadających nieruchomości oznacza to ich sądową sprzedaż i spłatę wierzycieli na wysokość uzyskanej kwoty, a nadwyżki zostają umorzone. Dla osób nieposiadających nieruchomości sędzia po potwierdzeniu sytuacji „nieodwracalnie zaburzonej” umarza wszystkie należności z wyjątkiem obowiązków alimentacyjnych i grzywnien zasądzonych wyrokami sądowymi.

Od wejścia w życie w 1990 r. liczba wniosków do Komisji Nadmiernego Zadłużenia nie przestaje rosnąć: od ok. 90 tys. spraw w 1990 r., poprzez prawie 150 tys. w 2000 r., do ponad 232 tys. w r. 2011. W 2011 r. 87% wniosków zostało uznanych za uzasadnione, z czego 29% zosta-

ło załatwionych w wyniku „procedury osobistego odzyskania równowagi”. Całkowita liczba osób już poddanych lub będących w trakcie procedury nadmiernego zadłużenia wynosiła we Francji we wrześniu 2012 r. ok. 765 tys.

Wśród osób korzystających z procedury w 2010 r. dominowały osoby samotne (65%), kobiety (56%), osoby wychowujące dzieci, ale częściej bezdzietne, gdyż francuski system wysokich zasiłków rodzinnych częściowo chroni rodziców o niestabilnej sytuacji zawodowej przed zadłużeniem. Jeśli chodzi o sytuację zawodową, byli to przede wszystkim pracownicy niezajmujący stanowisk kierowniczych (34%), robotnicy (24%) i osoby nieaktywne (27,5%). Ponad jedna czwarta na bezrobociu. 80% dłużników to lokatorzy, zaledwie 5% osób zadłużonych posiadało jakiegokolwiek, zazwyczaj bardzo niewielkie oszczędności.

Zadłużenie 95% dłużników dotyczyło długów bankowych, w tym aż 90,6% kredytów konsumpcyjnych, których ofiarami były w największym stopniu osoby młode oraz rodziny wielodzietne, których dochód na osobę jest bardzo niski. Inne długi to nieplacone opłaty, przede wszystkim za czynsz (46%) i energię (elektryczność, gaz, ogrzewanie, 34%).

W ostatnich latach liczba osób o ujemnej zdolności spłaty wzrosła, co oznacza, że wzrosła liczba osób narażonych na ubóstwo. Ale mądre państwo francuskie chroni swoich najsłabszych obywateli, co i u nas byłoby bardzo potrzebne.

.....
Ewa Sufin-Jacquemart jest socjolożką, pracowała jako radca w ambasadzie RP w Luksemburgu. Obecnie przeska fundacji „Strefa Zieleni”, doradczyni w zakresie zrównoważonego rozwoju regionalnego i społecznej odpowiedzialności biznesu.

HISTORIA CLAIRE

Claire była młodą samotną matką wychowującą kilkunastoletniego syna, wraz z jego babką. Claire pracowała od niedawna, gdyż przez lata opiekowała się dzieckiem i domem, do czasu kiedy mąż ją porzucił i wyjechał, nie zostawiając adresu i nie płacąc alimentów. Obydwie kobiety niewiele zarabiały, ale dzięki oszczędnościom jakoś udawało im się bardzo skromnie wiązać koniec z końcem, mimo dość wysokiego czynszu za czteropokojowe mieszkanie, które Claire wynajęła jeszcze z dobrze zarabiającym mężem. Jednakże młoda kobieta niebawem utraciła pracę z powodu kryzysu, a prawie jednocześnie jej mama, niewiele zarabiająca urzędniczka, przeszła na emeryturę i jej przychody gwałtownie spadły. Gdy Claire utraciła krótkotrwałe uprawnienia do zasiłku dla bezrobotnych, sytuacja materialna obydwu kobiet stała się bardzo trudna. Nie miały możliwości zmienić mieszkania na mniejsze o niższym czynszu, gdyż przy bezrobociu Claire i niskiej emeryturze jej mamy żaden właściciel nie chciał im wynająć mieszkania, a na mieszkanie socjalne czekała długa lista potrzebujących. Zaczęły zalegać z czynszem i opłatami, a potem zaciągać jeden po drugim kredyty konsumpcyjne o wy-

sokim oprocentowaniu, aby zaspokoić podstawowe potrzeby dziecka i własne. Mimo otrzymania w końcu niewielkiego zasiłku dla „samotnego rodzica” i dofinansowania do czynszu, nagromadzone długi były zbyt duże, aby obydwie kobiety mogły je spłacić, a zniecierpliwiony właściciel rozpoczął procedurę eksmisji.

Za poradą opiekunki socjalnej Claire złożyła wniosek do Komisji Nadmiernego Zadłużenia. Komisja wstrzymała procedurę eksmisji i zwróciła się do sędziego o zastosowanie „procedury osobistego odzyskania równowagi”. Sędzia potwierdził „nieodwracalnie zaburzoną” sytuację Claire i umorzył wszystkie karne odsetki od kredytów konsumpcyjnych i od nieplaconego czynszu, jak i zaległe niezapłacone raty kredytu. Zmniejszył też oprocentowanie kredytów konsumpcyjnych z 17% do 7% oraz umorzył potowę zaległego czynszu, a pozostałą potowę rozłożył na 12 niewielkich rat. W ten sposób kobiety odzyskały pewną równowagę finansową, a dziecko mogło pozostać w domu pod opieką matki i babki. Po roku Claire udało się znaleźć następną pracę, rodzina zmieniła mieszkanie, aby obniżyć koszt życia, po czym powoli spłaciła długi i wyszła z trudnej sytuacji.

esj

Pieniądz dla nowej gospodarki

.....
Wojtek Kalinowski

Aby odpowiedzieć na wyzwania ekologiczne i społeczne naszych czasów, potrzebujemy systemu pieniężnego opartego na wzajemnym uzupełnianiu się walut. Taki system byłby nie tylko odporniejszy od obecnej „monokultury pieniężnej” na zawirowania spowodowane spekulacją, ale także skuteczniej wspomagałby zlokalizowany rozwój terytorialny.

Dużo się dzisiaj debatuje o kryzysie finansowym i o deficycie, ale zdecydowanie za mało o roli pieniądza w ekonomii. Nawet kryzys strefy euro nie spowodował otwarcia się nowych perspektyw dla refleksji nad tą kwestią. Krytycy jednolitej waluty albo proponują taką lub inną politykę monetarną, albo opowiadają się za powrotem do walut narodowych, a więc zamianą jednego monopolu pieniężnego na drugi.

Tym, czego brakuje w tej debacie, może poza małymi wyjątkami, jest refleksja nad pluralizmem monetarnym. Chodzi o współistnienie kilku różnych pieniędzy w obiegu na określonym obszarze: pieniądza lokalnego na poziomie miasta, pieniądza narodowego na szczeblu państwa i w końcu waluty europejskiej funkcjonującej na poziomie Unii Europejskiej.

Pluralizm monetarny może być pomysłem zaskakującym. Większość ekonomistów ignoruje go lub uważa za patologię. Pieniądz jest dla nich jedynie narzędziem służącym koordynacji, neutralnym pośrednikiem, który zastępuje wymianę barterową, narzędziem, które nie wpływa ani na motywację podmiotów ekonomicznych, ani na naturę transakcji. Natomiast wśród osób zaangażowanych w rozwój lokalny, w sektorze gospodarki społecznej i wśród radnych samorządowych idea pluralizmu monetarnego cieszy się rosnącym zainteresowaniem.

Zarówno we Francji, jak i na świecie coraz liczniejsze są próby wyjścia poza walutową monokulturę. Przybierają one różne formy: walut lokalnych lub regionalnych, banków czasu, lokalnych systemów wymiany, walut tworzonych przez przedsiębiorstwa oraz walut fiskalnych. Te pieniądze „inne niż wszystkie” nazywane są niekiedy komplementarnymi, ponieważ nie służą zastąpieniu waluty dominującej, ale jej uzupełnieniu. Mogą mieć charakter materialny i krążyć w obiegu fizycznym lub też istnieć jedynie w zapisach księgowych.

Ich twórcą może być państwo lub prywatna instytucja. Mogą być wymienne na walutę narodową lub krążyć w obiegu zamkniętym. Ich celem jest wzmocnienie lokalnej gospodarki, wspieranie zrównoważonej konsumpcji, budowa sieci wzajemnej pomocy lub zaferowanie osobom w najtrudniejszej sytuacji dodatkowej siły nabywczej. Najczęściej mają kilka takich celów jednocześnie. Nie miejsce tu, by wyczerpująco przedstawić wszystkie istniejące eksperymenty w tej dziedzinie. Zastanówmy się raczej nad pytaniem o źródło tej fali walutowych innowacji oraz nad rolą, jaką mogą one odegrać w przejściu do gospodarki opartej na trwałym rozwoju.

Pięniężna monokultura

Zakładamy jako coś oczywistego i naturalnego, że każdy kraj ma swój narodowy pieniądz, a przecież historia uczy nas, że waluta narodowa jest wynalazkiem dość niedawnym. Historia roi się od przykładów współistnienia w obiegu wielu walut równoległych do waluty podstawowej.

Umocnienie się pozycji pieniędzy narodowych pozwoliło na rozprzestrzenienie

się kapitalizmu przemysłowego charakteryzującego się ciągłym wzrostem, akumulacją i centralizacją. Dotyczy to ilości energii i zasobów potrzebnych, żeby przeprowadzić inwestycje, wielkości kapitału koniecznego, żeby te inwestycje sfinansować, a także zwiększania się rozmiaru firm i banków.

Spadkiem po tej epoce jest pieniądz tworzony w przeważającej części przez prywatne banki i w imię interesów finansowych, o których sędzi się, że zagwarantują optymalną alokację kapitału i dobro całej gospodarki. Zauważamy jednak, że współczesne rynki finansowe zamiast służyć realnej gospodarce, wykorzystują swój monopol pieniężny, by dbać o własne interesy, zabierając przy okazji coraz większą część zysków z gospodarki produktywnej.

Nie zapominajmy, że wyzwania, które stoją przed nami dzisiaj, różnią się częściowo od tych z początków epoki industrialnej. Kapitalizm postindustrialny wykorzenia ludzi z ich naturalnego terytorium, zmuszając nas do ponownej refleksji nad spójnością społeczną i nad nowymi receptami na rozwój społeczności lokalnych.

Koniec pełnego zatrudnienia oraz polaryzacja rynku pracy powodują problemy społeczne, których rozwiązaniem wydaje się organizacja społeczeństwa mniej zależna od podziału pracy. Chodzi o to, żeby ludzie pracowali mniej godzin, jednocześnie poświęcając więcej czasu na zajęcia „dodatkowe”, użyteczne społecznie. Starzenie się społeczeństw zagraża naszym systemom wzajemnego wsparcia oraz trwale spowalnia wzrost. Zmiana klimatyczna zmusza nas do przejścia do społeczeństwa zrównoważonego rozwoju, co wymaga nie tylko rozwoju czyśtych, lecz musi pociągnąć za sobą głęboką zmianę naszego sposobu życia.

Trzy grzechy monokultury

W obliczu tych problemów pieniądz zdominowany przez interesy finansowe okazuje się potrójnie dysfunkcyjny. Po pierwsze, każdy system, który dąży do monokultury prędzej czy później załamie się. Pieniądz bankowy jest krótkoterminowo „efektywny”, ale mało odporny na wstrząsy, a na dodatek wystrza cykl koniunkturalny i napędza łatwy kredyt, przyczyniając się do nadmuchiwania baniek spekulacyjnych. Kiedy

zaś bańka pęka, kurek z kredytem zakręca się gwałtownie, pograżając gospodarkę w recesji, aby wyruszyć na poszukiwanie nowych baniek...

„Ryzyko dominacji aktywności spekulacyjnej rośnie proporcjonalnie do rozwoju rynków finansowych”, przewidywał Keynes już w 1936 r. Od tej pory każdemu nowemu kryzysowi towarzyszy załamywanie rąk nad nieodpowiedzialnym zachowaniem świata finansów, pozbawione refleksji nad tym, że to właśnie połączenie interesów finansowych z quasi-monopolem banków na tworzenie pieniądza działa destabilizująco na cały system.

Po drugie, ten system finansowy i monetarny przeszkadza nam w wykorzystywaniu zasobów tam, gdzie są potrzebne: na rzecz projektów użytecznych dla społeczeństwa i planety. Pilnie potrzebujemy „zielonych” inwestycji w dziedzinie produkcji, ochrony ekosystemów, rozwoju miast ekologicznych itp. Ekonomisci zastanawiający się nad tą kwestią apelują o inwestycje publiczne, rozumiejąc, że tego typu projekty nie są wystarczająco opłacalne dla inwestorów prywatnych. A państwa są w tragicznej sytuacji finansowej i, przytłoczone ciężarem zadłużenia, same sobie odmawiają pożyczania bezpośrednio od banków centralnych. Czy mamy jednak rezygnować z ochrony biosfery tylko dlatego, że nie przynosi to zysków?

Po trzecie, konstrukcja i funkcjonowanie bankowego pieniądza-kredytu nie bierze pod uwagę ścisłego związku między ekonomią i społeczeństwem. Zostawienie na pastwę losu „niekonkurencyjnych” terytoriów i grup ludności, niekiedy nawet wykluczenia ich z systemu bankowego, doskonale wpisuje się w ten system.

A przecież, jak pisze francuski ekonomista Bruno Théret, na „gospodarkę składają się długi, które nie sprowadzają się wyłącznie do rynkowych umów kredytowych”. Gospodarka to też długi społeczne, które wiążą jednostkę z różnymi grupami odniesienia, od rodziny począwszy, a skończywszy na wspólnocie politycznej. Publiczni i społeczni rzecznicy pieniędzy komplementarnych sprzeciwiają się swoim działaniem czysto rynkowej koncepcji ekonomii jako sfery oderwanej od potrzeb społecznych. Podkreślają jednocześnie wartość zasobów ludzkich i naturalnych, które w systemie pieniądza bankowego są pomijane jako nie dość opłacalne.

Wersja skrócona, cały tekst: www.zielonewiadomosci.pl. Artykuł ukazał się na stronie Instytutu Veblena na rzecz Reform Ekonomicznych. Przel. Monika Dac.

Fot: <http://www.ithacahours.org/>

.....
Wojtek Kalinowski jest socjologiem i historykiem, współdyrektorem paryskiego think tanku Instytut Veblena na rzecz Reform Ekonomicznych.



Waluty lokalne w działaniu

Pieniądz komplementarny może być wprowadzony do obiegu przez władzę lokalną, jak niedawno w Tuluzie (SOL Violette) i w najbliższej przyszłości w Nantes, np. poprzez ustalenie, że zapłata za określoną usługę może być dokonywana jedynie w walucie lokalnej.

W Belgii władze Gand dały do dyspozycji mieszkańcom dzielnicy Rabot ogrody rodzinne. Ogrody te są „wypożyczane” za 150 „Torekesow” rocznie. Przyszli użytkownicy muszą zarobić je, uczestnicząc w aktywnościach dzielnicowego domu kultury lub lokalnych organizacji pozarządowych. Obowiązek zapłaty rocznego czynszu gwarantuje ciągły popyt na pieniądze lokalne, które mogą być też używane do zakupu lokalnych produktów rolniczych, energooszczędnych żarówek, biletów transportu miejskiego lub biletów do kina.

Dużo radykalniejszym posunięciem byłoby wprowadzenie do obiegu równoległej waluty „fiskalnej” przez władze lokalne lub państwa będące częścią federacji lub strefy monetarnej. Tę metodę wybrały niektóre argentyńskie prowincje, aby wspomóc gospodarkę lokalną w okresie recesji. Wartość pieniądza zależy przecież od tego, czy jest on akceptowany jako środek regulowania podatków, a dochody z podatków lokalnych, regionalnych i narodowych są doskonałą podstawą do wprowadzenia w obieg publicznej waluty komplementarnej.

Z kolei pieniądz-energia pokazuje, w jaki sposób pieniądz komplementarny może służyć jako rezerwa wartości i wspomagać transformację energetyczną. Kiedy austriacka firma Waldviertel rozpoczęła produkowanie energii słonecznej na poziomie lokalnym, postanowiła sfinansować tę inwestycję nie poprzez kredyt bankowy, ale za pomocą subskrypcji. Udało jej się zgromadzić ponad milion euro, sprzedając wyemitowane przez siebie bony wśród przyszłych użytkowników. Bon „Waldviertel” sprzedany za 200 euro oferuje przez dziesięć lat dostęp do elektryczności za 30 euro rocznie, nie licząc „powitalnego pakietu” wartości 30 euro. Bony te mogą być używane do zakupu innych produktów tej firmy.

Bony „Waldviertel” są emitowane w euro, ale istnieją też inne waluty oparte na energii, np. Kiwah wymyślony przez holenderską fundację QOIN, rozliczany nie w euro, lecz w kilowatach. Przyszły konsument kupuje określoną ilość kilowatów rocznie, unikając tym samym potencjalnych podwyżek ceny elektryczności. Wartością takich rozwiązań jest zdecentralizowane finansowanie powstawania systemów produkcji lokalnej.

W sektorze gospodarki społecznej banki czasu proponują system wymiany, gdzie jednostką rozliczeniową jest godzina pracy. Działająca w Kanadzie kooperatywa „Accorderie” dysponuje niezwykle bogatą listą usług wymienianych wśród 2000 użytkowników systemu. Każdy z nich dysponuje „rachunkiem czasu”, na którym odnotowuje się usługi otrzymane i udzielone. Zazwyczaj dotyczy to takich usług jak pomoc w pracach domowych, w ogrodzie, w przeprowadzce, a nawet usługi w dziedzinie zdrowia i urody. Wymiana usług między użytkownikami oparta jest na zasadzie ścisłej równości: każda przepracowana przez kogoś godzina jest warta tyle samo.

Stosowane przez niektóre firmy programy lojalnościowe (wylatane mile, karty stałego klienta itp.) pokazują, że technicznie bardzo łatwo jest wprowadzić pieniądze komplementarne na większą skalę. Jednak biorąc pod uwagę istotność wyzwań, które przed nami stoją, dużo pożyteczniejsze jest szukanie rozwiązań mogących pomóc ochronić lokalne małe i średnie firmy, wyjątkowo poszkodowane przez bankowy pieniądz-kredyt.

Szwajcarska waluta WIR jest typowym przykładem tworzenia pieniędzy przez przedsiębiorstwa całkowicie obok tradycyjnego systemu bankowego. Wprowadzona do obiegu w 1934 r., jest obecnie używana przez ok. 60 tys. małych i średnich firm we wszystkich sektorach gospodarki, a jej oddziaływanie kontrcykliczne jest dobrze udowodnione. W sytuacji utrudnionego dostępu do kredytu i kryzysu płynności szwajcarskie małe i średnie przedsiębiorstwa zwiększają ilość transakcji przeprowadzanych w WIR, a kiedy tylko koniunktura się polepsza, ponownie wracają do franka szwajcarskiego.

Wojtek Kalinowski



.....
Vandana Shiva

Istnieje związek między agresywną polityką gospodarczą a wzrostem przestępczości wobec kobiet. Grupowy gwałt, który wstrząsnął Delhi, doprowadził do rewolucji – rewolucji, którą musimy kontynuować.

Przemoc wobec kobiet jest tak stara jak patriarchy.

Tradycyjny patriarchy kształtował nasze światopoglądy i sposoby myślenia, a także środowiska społeczno-kulturowe oparte na dominacji nad kobietami oraz odmawianiu im pełnego człowieczeństwa i prawa do równości. Lecz od pewnego czasu zjawisko to nasila się i staje bardziej rozpowszechnione. Przybiera brutalniejsze formy, takie jak zamordowanie ofiary zbiorowego gwałtu w Delhi czy niedawne samobójstwo zgwałconej 17-latkę w Czandigarhu.

W Indiach liczba przypadków gwałtu i przemocy wobec kobiet wzrasta z upływem lat. National Crime Records Bureau (NCRB) w 1990 r. odnotowało 10 068 gwałtów, w r. 2000 liczba ta zwiększyła się do 16 496. W r. 2011 było to już 24 206 przypadków – niewiarygodny wzrost o 873% od 1971 r., kiedy zaczęto prowadzić statystyki. Zaś Delhi, w którym ma miejsce 25% wszystkich przypadków, stało się indyjską stolicą gwałtów.

Ruch na rzecz zatrzymania tej przemocy musi trwać do momentu, gdy sprawiedliwości stanie się zadość dla każdej z naszych zgwałconych córek i sióstr.

Nie ustając w naszej walce o sprawiedliwość dla kobiet, powinniśmy jednocześnie pytać, dlaczego liczba gwałtów wzrosła o 240% od 1990 r., kiedy to wprowadzono nową politykę gospodarczą.

Czyżby istniał związek między wprowadzeniem agresywnej, narzuconej w sposób niedemokratyczny i niesprawiedliwej polityki gospodarczej a nasileniem i brutalizacją przestępstw przeciwko kobietom?

Jestem przekonana, że tak. Nie sugeruję, że przemoc wobec kobiet rozpoczęła się wraz z nadejściem neoliberalnej gospodarki. Zdaje sobie doskonale sprawę z głębokich uprzedzeń płciowych w naszych tradycyjnych kulturach i formach organizacji społecznej. Mój dziadek poświęcił życie walce o równość kobiet, a moja matka była feministką, zanim pojawiło się to słowo.

Przemoc wobec kobiet przybrała nowe, brutalniejsze formy, gdy tradycyjne struktury patriarchalne skrzyżowały się ze strukturami patriarchy kapitalistycznego. Powinniśmy przebadać związek między przemocą niesprawiedliwych, niszczących środowisko systemów gospodarczych a zwiększoną częstotliwością i brutalnością przemocy wobec kobiet. Powinniśmy zrozumieć, w jaki sposób tradycyjne struktury patriarchalne łączą się z powstającymi strukturami patriarchy kapitalistycznego, co skutkuje nasileniem przemocy wobec kobiet.

Cyklony i huragany zdarzały się zawsze. Lecz ich siła i częstota występowania zwiększyły się wraz

Nasza pełna przemoc gospodarka krzywdzi kobiety

ze zmianami klimatu, jak pokazuje supercyklon Orissa, cyklon Aila, huragany Katrina i Sandy.

Nasze społeczeństwo tradycyjnie dyskryminowało dzieci płci żeńskiej. Lecz epidemia selektywnej aborcji żeńskich płodów, która spowodowała zniknięcie 30 milionów nienarodzonych dziewczynek, podniosła te uprzedzenia na nowy poziom przemocy o niespotykanych wcześniej proporcjach. I to w tym właśnie kontekście dynamiki bardziej brutalnej i bezwzględnej przemocy wobec kobiet (i wielorakich, połączonych ze sobą form agresji) procesy uwolnione przez neoliberalizm odgrywają swoją rolę.

przetwarzanie gospodarkach globalnego Południa jest naturalnym rezultatem wytwarzanej przez kapitalistyczny patriarchy granicy produkcji.

Ograniczając się do wartości gospodarki rynkowej, tak jak definiuje je kapitalistyczny patriarchy, granica produkcji ignoruje ekonomiczną wartość dwóch podstawowych form gospodarki, niezbędnych do przetrwania ludzkości i innych gatunków żywych: gospodarki natury i gospodarki na własne potrzeby. W gospodarce natury i gospodarce na własne potrzeby wartość ekonomiczną ocenia się na podstawie tego, w

gospodarce wpływają na systemy polityczne. Rząd mówi o reformach gospodarczych tak, jakby nie miały one nic wspólnego z polityką i władzą. Przywódcy mówią o trzymaniu gospodarki z dala od polityki, narzucając jednocześnie model gospodarczy ukształtowany przez politykę określonej płci i klasy społecznej.

Neoliberalne reformy działają przeciwko demokracji. Mogliśmy to ostatnio zaobserwować, kiedy rząd przepychał „reformy” mające przyciągnąć do Indii bezpośrednie inwestycje zagraniczne (FDI) amerykańskiej sieci supermarketów Walmart. Reformy zorientowane na korporacje

System gospodarczy wpływa na kulturę i wartości społeczne. Gospodarka oparta na utowarowieniu stwarza kulturę utowarowienia, w której wszystko ma cenę, a nic nie ma wartości.

Narastająca kultura gwałtu jest społecznym efektem zewnętrznym reform gospodarczych. Musimy zinstytucjonalizować społeczną kontrolę neoliberalnej polityki, która w naszych czasach stała się głównym narzędziem patriarchy. Gdyby istniał społeczny audyt korporatyzacji naszego sektora nasennego, 270 000 rolników w Indiach nie popełniłoby samobójstwa, odkąd wprowadzono nową politykę ekonomiczną. Gdyby istniał społeczny audyt korporatyzacji naszej żywności i rolnictwa, co czwarte dziecko w Indiach nie byłoby głodne, co trzecia kobieta nie dożyłaby, a co drugie dziecko wychudzone i opóźnione w rozwoju z powodu poważnego niedożywienia. Dzisiejsze Indie nie byłyby „republiką głodu”, o jakiej pisała dr Utsa Patnaik.

Ofiara zbiorowego gwałtu w Delhi zainicjowała rewolucję społeczną. Musimy ją kontynuować, pogłębiać i rozszerzać. Powinniśmy do skutku żądać szybkiej i efektywnej sprawiedliwości dla kobiet. Musimy domagać się przyspieszonych sądów dla sprawców przestępstw przeciwko kobietom. Musimy doprowadzić do zmiany prawa, tak by aparat wymiaru sprawiedliwości nie zawodził ofiar przemocy seksualnej. Powinniśmy nadal domagać się umieszczenia na czarnej liście polityków z przeszłością kryminalną.

Musimy dostrzegać kontinuum różnych form przemocy wobec kobiet, od selektywnej aborcji żeńskich płodów przez wykluczenie ekonomiczne aż po napaści na tle seksualnym. Powinniśmy rozwijać dalej ruch na rzecz reform społecznych niezbędnych dla zagwarantowania bezpieczeństwa, ochrony i równości kobiet, budując na fundamentach tradycji indyjskiego ruchu niepodległościowego kontynuowanej przez ruch feministyczny przez ostatnie pół wieku. Program reform społecznych, sprawiedliwości społecznej i równości został przerwany przez program „reform gospodarczych” narzucony przez kapitalistyczny patriarchy.

Robiąc to wszystko, powinniśmy dążyć do zmiany obowiązującego paradygmatu, który redukuje społeczeństwo do gospodarki, a gospodarkę do rynku, i który został nam narzucony w imię „wzrostu”.

Spółeczeństwo i gospodarka nie są od siebie odizolowane. Procesy reform społecznych i reform gospodarczych nie mogą być dłużej oddzielone. Potrzebujemy reform gospodarczych opartych na fundamentach reform społecznych, które korygują nierówność płci w społeczeństwie, nie zaś takich, które przyczyniają się do pogłębienia wszelkich form niesprawiedliwości, nierówności i przemocy.

Zakończenie przemocy wobec kobiet wymaga również wyjscia poza opartą na przemoc gospodarkę i zbudowania modelu gospodarki wolnej od przemocy, ekologicznej i pokojowej, oddającej szacunek kobietom i Ziemi.

Artykuł „Our Violent Economy is Hurting Women” ukazał się na stronie „Yes Magazine” na licencji CC-BY-NC-SA. Przeł. Jan Skoczylas.

.....
Vandana Shiva jest indyjską ekologką i feministką, jedną z ikon ruchu alterglobalistycznego.



fot: Flickr.com by Christi Nielsen

Po pierwsze

– model gospodarczy krótkowzrocznie skoncentrowany na „wzroście” zakłada przemoc wobec kobiet, gdyż deprecjonuje ich wkład do gospodarki.

Im więcej rządy do znudzenia mówią o „wzroście włączającym” i „finansowym włączeniu”, tym bardziej pomijają udział kobiet w życiu gospodarczym i społecznym. Zgodnie z patriarchalnym modelem gospodarczym produkcję na własne potrzeby uważa się za brak produkcji. To przekształcenie wartości w nie-wartość, pracy w nie-pracę i wiedzy w niewiedzę dokonuje się za pomocą najpotężniejszej liczby, która rządzi naszym życiem, patriarchalnego konstruktu PKB – Produktu Krajowego Brutto, zwanego przez niektórych Problemem Krajowym Brutto.

Systemy rachunków narodowych używane do obliczania wzrostu jako PKB oparte są na założeniu, że jeżeli producenci konsumują to, co wyprodukowali, to w istocie w ogóle nie produkują, ponieważ pozostają poza granicą produkcji.

Granica produkcji jest tworem politycznym, który w swoim działaniu wyklucza regenerujące i odnawialne cykle produkcyjne z dziedziny produkcji. Z tego powodu wszystkie kobiety, które produkują coś dla swoich rodzin, dzieci, wspólnoty i społeczeństwa traktowane są jako „nieproduktywne” i „nieaktywne gospodarczo”. Kiedy gospodarka ogranicza się do rynku, ekonomiczna samowystarczalność postrzegana jest jako ekonomiczna niepełnosprawność. Dewaluacja pracy kobiet oraz pracy wykonywanej w nastawionych na

jakim stopniu chronione jest życie ziemi i życie człowieka. Jej walutą są życiodajne procesy, a nie gotówka lub cena rynkowa.

Po drugie

– model kapitalistycznego patriarchy, wykluczający pracę kobiet i bogactwo wytwarzane w umyśle, pogłębia tę przemoc, pozbawiając kobiety źródeł utrzymania i odcinając je od naturalnych zasobów, od których to utrzymanie zależy: ich ziemi, ich lasów, ich wody, ich nasion i bioróżnorodności. Reformy gospodarcze oparte na założeniu nieograniczonego wzrostu w świecie ograniczonych zasobów mogą być utrzymane jedynie za cenę bezpardonowego zagarniania zasobów słabszych przez silniejszych. Rabunek zasobów niezbędny dla „wzrostu” wytwarza kulturę gwałtu – gwałtu dokonywanego na ziemi, lokalnych samowystarczalnych społecznościach oraz kobietach. Jedyne sposoby, w jaki ten „wzrost” jest „włączający”, to włączanie coraz większych rzesz ludzi w jego krąg przemocy.

Wielokrotnie podkreślałam, że gwałt dokonywany na ziemi i gwałt na kobietach są ściśle ze sobą połączone, zarówno metaforycznie poprzez kształtowanie światopoglądów, jak i materialnie poprzez wpływ na życie codzienne kobiet. Pogłębiająca się bezsilność ekonomiczna kobiet sprawia, że stają się one bardziej narażone na wszystkie formy przemocy – w tym przemoc seksualną.

Po trzecie

– reformy gospodarcze prowadzą do podkopywania demokracji i prywatyzacji rządu. Systemy

powodują zlewanie się władzy gospodarczej i politycznej, pogłębianie nierówności oraz rosnące oddzielenie klasy politycznej od woli ludzi, których z założenia powinni reprezentować. To jest korzeń braku łączności pomiędzy politykami a społeczeństwem, której doświadczyliśmy podczas protestów, jakie przetoczyły się przez całe Indie po zbiorowym gwałcie w Delhi.

Co gorsza, wyalienowana klasa polityczna boi się swoich własnych obywateli. To tłumaczy coraz częstsze użycie policji do dławienia pokojowych protestów obywatelskich, czego świadkami byliśmy w Delhi. Sprywatyzowane państwo korporacyjne musi szybko stać się państwem policyjnym.

Z tego samego powodu politycy muszą otaczać się coraz silniejszą ochroną, odciągając siły policyjne od ich ważnego zadania, jakim jest zapewnienie bezpieczeństwa kobiet i zwykłych obywateli.

Po czwarte

– model gospodarczy uformowany przez patriarchalny kapitalizm opiera się na utowarowieniu wszystkiego, włączając w to kobiety. W czasie protestów podczas szczytu WTO w Seattle krzyčiliśmy: „Nasz świat nie jest na sprzedaż”.

Uwolniona przez liberalizację gospodarczą żywioty gospodarce – deregulacja handlu, prywatyzacja i utowarowienie nasion oraz żywności, ziemi i wody, kobiet i dzieci – powodują degradację wartości społecznych, pogłębiają patriarchy i zwiększają przemoc wobec kobiet.

Oczami Głuchych

.....
Bartłomiej Kozek

Głusi nie mają lekko. Spore poruszenie wywołało niedawno powołanie przez ministra pracy Polskiej Rady Języka Migowego, do której na początku... nie trafiła ani jedna osoba głucha. Choć ostatecznie problem został rozwiązany i reprezentacja tej społeczności znalazła we wspomnianym celu, to jednak przykład ten dobrze ilustruje tezę, że pomimo np. przyjęcia przez parlament ustawy „o języku migowym i innych środkach komunikowania się” do pełnego równouprawnienia nadal sporo nam brakuje.

Byłoby jednak niesprawiedliwe, gdybyśmy nie zauważyli, że przez ostatnie lata wiele zmieniło się na jej korzyść. Warto zerknąć w przeszłość społeczności Głuchych (nie zaś „niesłyszących”, jako że nie chcą oni, by ich tożsamość była określana przez zaznaczenie jakiegos „braku” czy „odstępstwa od normy”). Dobrym wprowadzeniem do kultury i historii Głuchych w USA jest „Through Deaf Eyes”, dwugodzinny dokument amerykańskiej telewizji PBS. Historia ta wpisuje się w ciąg walk różnych grup społecznych o uznanie swojej godności.

Narodziny społeczności

Przez długie wieki Głusi w Europie nie mieli możliwości rozwoju swojego języka i kultury. Jeśli istniała potrzeba komunikacji z taką osobą, rodzina bądź – w najlepszym wypadku – lokalna społeczność tworzyła ad hoc systemy porozumiewania się, które zaginęły wraz z osobami nimi się posługującymi. Głuchotę zdarzało się traktować jako karę za grzechy, co sprawiło, że od XVI w. zainteresowanie nawiązywaniem kontaktu z osobami nią dotkniętymi wykazywali głównie księża.

Dopiero wraz z Oświeceniem rozpoczęły się próby stworzenia usystematyzowanych form komunikacji, umożliwiających edukację Głuchych i tworzenie przez nich wspólnoty. Powstawać zaczęły placówki, w których gromadzono osoby głuche, rozpoczął się również proces kodyfikacji języków Głuchych. Najważniejszym ośrodkiem działań tego typu była Francja – po dziś dzień spora część innych języków Głuchych, takich jak polski czy amerykański język migowy wywodzi się właśnie stamtąd.

Na ziemiach polskich pionierem był ksiądz Jakub Falkowski, który w 1817 r. założył Instytut Głuchoniemych. Na początku znajdował się on w Pałacu Kazimierzowskim, leżącym na terenie dzisiejszego kampusu głównego Uniwersytetu Warszawskiego, 9 lat później przeniósł się na Plac Trzech Krzyży, gdzie znajduje się po dziś dzień.

Dokładnie w tym samym, 1817 r. francuskie doświadczenia przeniósł na amerykański grunt Thomas Gallaudet, zakładając w Connecticut Amerykańską Szkołę Głuchych. Bardzo szybko system znaków został zaadaptowany do lokalnych warunków, co dowodzi, że języki Głuchych mają charakter naturalny i powstają w sposób spontaniczny wraz z powstaniem społeczności, chcące

komunikować się za ich pośrednictwem. Dziś amerykański język migowy jest czwartym najczęściej używanym w USA, a od lat 60. XIX w. szkoła Gallaudeta stała się uniwersytetem – najważniejszym ośrodkiem kultury Głuchych na świecie.

W tył zwrot!

Do tej pory nasza opowieść zadawała się pewnym krokiem zmierzać ku szczęśliwemu zakończeniu – skrytykalizowaniu się języka, poprawie dostępu do edukacji i stopniowemu włączaniu Głuchych do głównego nurtu życia społecznego. Tak się jednak nie stało. Sprawcą był nikt inny, jak twórca telefonu, Alexander Graham Bell. Miał on ściśle sprecyzowane poglądy na temat kształtu społeczeństwa, jakie chce w wyniku swoich wynalazków osiągnąć. W jego wizji na odrębność Głuchych – symbolizowaną przez język migowy – nie było miejsca. Bell był natywiścią i eugenikiem: uważał, że amerykańskie społeczeństwo funkcjonować będzie prawidłowo wyłącznie wtedy, kiedy zasymiluje wszelkie mniejszości, zarówno imigrantów, jak i Głuchych. Odmienność tej ostatniej grupy postrzegał jako defekt, którego dziedziczenie stanowiło zagrożenie dla „zdrowej tkanki narodu” (w rzeczywistości jedynie kilka procent tej społeczności jest głuchych od urodzenia). Bell stał się twórcą szkoły oralistycznej, w której nie pozwala się na stosowanie języka migowego, edukacja opiera się zaś na przymuszaniu do czytania ludzom z ust i ćwiczeniu aparatu mowy – tak, by Głusi porozumiewali się ze słyszącymi na zasadach tych drugich.

Szkoła oralistyczna, szybko rozprzestrzeniająca się kosztem szkół języka migowego, na lata zahamowała emancypację Głuchych w USA. Przyczynił się do tego kongres nauczycieli głuchych, który w r. 1890 odbył się w Mediolanie i który oficjalnie stanął po stronie metody oralnej. Osoby głuche, zamiast tworzyć społeczność z podobnymi sobie, zmuszane były do zaadaptowania się do świata słyszących. Niezadko nie były w stanie tego zrobić, co kończyło się tym, że uznawano je za osoby opóźnione w rozwoju.

Jednocześnie w samej nadal istniejącej społeczności Głuchych zaczęły odbijać się podziały znane w reszcie amerykańskiego społeczeństwa, jak chociażby segregacja rasowa. Odrębna edukacja w zależności od koloru skóry przyczyniła się do ukształtowania wśród Afroamerykanów osobnego slangu i odmiennego sposobu ekspresji miganych znaków.

Kierunek: równość

Dopiero w drugiej połowie XX w., wraz z emancypacją innych grup społecznych, Głusi powoli zaczęli wracać do głównego nurtu społeczeństwa na własnych zasadach. Z jednej strony pomogła im w tym technologia – wprawdzie powstanie dalekopisów, umożliwiających im komunikację na odległość, dziś zaś wideofony i internet. Z drugiej strony niebagatelną rolę odegrało ponowne docenienie samego języka migowego. Pojawiły się badania, wskazujące na fakt, że miganie ma charakter języka naturalnego, a nie jest jedynie wizualnym odzwierciedleniem prostych zwrotów języka mówionego. Początkowo były one przyjmowane sceptycznie nawet przez samych Głuchych – z czasem



jednak zostały przyjęte do wiadomości, co umożliwiło dowartościowanie amerykańskiego języka migowego, mającego coraz bardziej bardziej formacyjny, tożsamościowy wpływ na swoje użytkowniczki i użytkowników.

Głusi – podobnie jak inne ruchy emancypacyjne, takie jak ruch kobiecy czy na rzecz równouprawnienia Afroamerykanów – coraz głośniej zaczęły domagać się uznania swoich praw. Symbolem ich walki stał się w latach 80. XX w. konflikt o obsadę stanowiska rektora Uniwersytetu Gallaudeta. Choć trudno sobie to dziś wyobrazić, aż do tego momentu ta najważniejsza dla Głuchych placówka edukacyjna na świecie kierowana była przez... osoby słyszące. Gdy w 1988 r. miało tak się stać ponownie, studentki i studenci powiedzieli – basta! Udało im się zorganizować marsz na Waszyngton, a demonstracje przed i na terenie uniwersytetu trwały tak długo, aż nowa rektorka podała się do dymisji i po raz pierwszy w historii rada uniwersytecka wybrała na rektora Głuchego – Irvinga Kinga Jordana.

Kultura i kontrowersje

Dziś w Ameryce rozwija się twórczość Głuchych – teatr, poezja, a nawet... muzyka (youtu.be/YVciDbBaNIE). Klipy z zamiganymi utworami najpopularniejszych artystek i artystów krążą po sieci, nie brakuje też zespołów – bądź to mieszanych, w których osoby słyszące wyśpiewują to, co miga głuchy wokalista, bądź też takich, w których osoba głucha tłumaczy na scenie nastroj i treść utworu. Choć mogą nie słyszeć, osoby głuche wyczuwają wibracje związane z wydobywaniem dźwięku, co umożliwia im w naturalny sposób wykorzystywanie do

ekspresji twórczej poczucia rytmu.

Rozwój badań nad głuchotą umożliwił również zbadanie rozproszonej po całym świecie społeczności, w których – z powodów genetycznych – Głusi stanowią istotną ich część. Doprowadziło to do powstania dwujęzycznych wiosek i osad, w których osoby słyszące jednocześnie posługują się lokalnym językiem migowym, tak jak w wypadku pewnej beduińskiej osady na pustyni Negew czy wioski Desa Kolok na Bali.

Olbrymie spory w społeczności budzi uznawanie głuchoty za medyczny defekt, wymagający leczenia. Szczególne kontrowersje budzi wszczepianie implantów ślimakowych – urządzenia, które umożliwiają częściowe odzyskanie słuchu. Głusi są zachęceni do tego, by „odkryć więcej świata”, usłyszeć szum morza czy śpiew ptaków. W wypadku osób, które najczęściej ogłuchły we wczesnym dzieciństwie, jest to abstrakcja taka, jaką dla słyszących mogłoby być np. możliwości widzenia w podczerwieni czy ultrafiolecie. Z drugiej strony stanowi to realny problem dla wielu rodziców, którzy chcą dla swych dzieci jak najlepiej i boją się np. niskiej jakości szkół dla Głuchych albo martwią się o szanse na znalezienie przez nie zatrudnienia, gdy już dorosną.

Emancypacja Głuchych doprowadziła do ukształtowania się silnego nurtu „Głuchej Dumy” (Deaf Pride), dla którego brak słuchu nie jest żadnym ograniczeniem, a wręcz – z powodu odmiennego postrzegania świata – stanowi powód do dumy. Stąd też bierze się pisanie o społeczności Głuchych wielką literą, jako o odrębnej grupie kulturowej, a nie jedynie gromadzie osób pozbawionej zdolności słyszenia. „Głucha Duma” często nie ogranicza się jedynie do kwestionowania medy-

kalizacji swojego stanu, ale wręcz do podawania w wątpliwość sensowności takich inicjatyw jak wspomniane przed chwilą głuche zespoły muzyczne. Zdaniem niektórych są one zbędnym kopiowaniem elementów kultury ludzi słyszących, które nie są w żaden sposób adekwatne do kultury Głuchych. W tej narracji implanty ślimakowe stają się narzędziem opresji, wybijaniem Głuchych z ich świata i kultury poprzez obiecywanie im partycypacji w świecie słyszących, która i tak – z powodu ograniczeń technologicznych – pozostanie ułomna.

Mówiąc o kulturze Głuchych, nie należy traktować jej jako monolitu. Tak jak niejednorodny, jeśli chodzi o poglądy i style życia są np. społeczności LGBT, tak samo jest i tu. Nie brakuje osób, które taktują własną głuchotę jako ograniczenie (szczególnie, jeśli przydarzyła się w późniejszym okresie życia). Nie brakuje też takich, które nie chciałyby czekać z wszczepieniem dziecku implantu ślimakowego aż do czasu, kiedy będzie dorosłe i podejmie decyzję samodzielnie. Strony sporu przerzucają się argumentami, mającymi świadczyć na ich korzyść, a samym rodzinom decyzję podjąć niełatwo.

Mimo to warto pamiętać, że istnieje spore grono ludzi, którzy nie traktują braku słuchu jako wymagającej korekty wady. Warto brać to pod uwagę, poznawać ich punkt widzenia i zobaczyć na własne oczy, jak bogatą kulturę takie podejście, kiedy już pozwolono mu na swobodną ekspresję, potrafiło wytworzyć.

Pełna transkrypcja dokumentu „Through Deaf Eyes” dostępna jest pod adresem:

<http://www.pbs.org/weta/throughdeafeyes/about/transcript.pdf>

Pięć cał- kiem za- dzior- nych ko- biet



Zespół "Same Suki" – [od lewej]: Justyna Meliszek, Helena Matuszewska, Patrycja Napierała, Magdalena Wieczorek-Duchewicz, Marta Sołek

Helena Matuszewska i Patrycja Napierała z zespołu Same Suki w rozmowie z Marcinem Wrzosem.

Marcin Wrzos: Gracie ze sobą niepełna rok, więc moje pytanie być może was jeszcze nie zdenerwuje. Skąd się wzięła nazwa Same Suki?

Helena Matuszewska: U źródeł naszego wspólnego projektu leży stary polski instrument ludowy: suka biłgorajska. Nazwa nawiązuje do nazwy instrumentu. Oraz do tego, że jest nas w zespole pięć całkiem zadziornych kobiet.

MW: Gracie muzykę etniczną. W Polsce chyba nadal ludowość nie jest postrzegana najlepiej?

HM: To prawda, ostatnio przykładem może być „Koko Euro spoko” zespołu Jarzębina. Gdzie indziej wybór tej piosenki potraktowany by został z humorem, u nas był to straszny obciach. Polacy muzyki źródeł raczej nie słuchają, wciąż jest to nisza. Powoli zaczyna się to jednak zmieniać.

Patrycja Napierała: Warto zaznaczyć, że my nie gramy muzyki ludowej, czerpiemy z niej, inspirujemy się nią, ale wszystko robimy po swojemu. Czasami tak daleko odbiega to od oryginału, że ciężko to nazwać „ludowizną”. Wynika to w dużej mierze stąd, że każda z nas pochodzi z zupełnie innego świata muzycznego. Każda dodaje trochę siebie i w ten sposób tworzymy nową całość.

HM: Na muzykę źródeł staramy się patrzeć przez pryzmat współczesnego świata. Gramy na tradycyjnych akustycznych instrumentach, wydobywając z nich nowe, współczesne brzmienia i tworzymy współczesne aranżacje starych melodii. Dziś kobiety nie siedzą przy garach i nie haftują wieczorami, za to uczestniczą w manife, a wieczorami idą na imprezę. Korzystając z muzyki źródeł, próbujemy powiedzieć coś po swojemu.

MW: Tradycyjne melodie i współczesne teksty? Jakie treści chcecie przekazać?

HM: W muzyce ludowej ważny był przekaz, nie przeciwstawiałabym tych dwóch rzeczy. Piosenki miały czasem wydźwięk moralizatorski, czasem refleksyjny, a innym razem humorystyczny. Śpiewano o tym, co w życiu jest ważne. Większość zespołów grających muzykę et-

niczną używa starych tekstów źródłowych, koncentrując się tylko na muzyce, a my chcemy też opowiedzieć słowami – nie tylko muzyką – współczesny świat, używając tradycyjnych melodii. Koncentrujemy się na jednym i drugim – aranżacji tekstu i muzyki. Chcemy mówić swoim głosem o tym co się dzieje teraz, a nie o tym co działo się 100 lat temu.

PN: Również o rzeczach delikatnych, o których według niektórych głośno nie wypada mówić. Ważne jest dla nas, by wyrażać wszystko to, co myślimy. Polska muzyka etniczna ma wciąż wiele tabu. Chodzi w niej bardziej o zachowanie tradycji niż tworzenie na jej bazie czegoś nowego. W naszych tekstach występują przekleństwa, co niektórych oburza. Z drugiej strony, jak się człowiek zagrzebie w starych tekstach, to okazują się one dużo bardziej sprosne niż np. nasza piosenka „VillageAnka”, w której wyliczamy kochanków. Jak się je czasem poczyta, to naprawdę uszy wędzną.

MW: Tradycja bywa nie aż tak tradycyjna, jak chcieliby tego tradycjonalisci?

HM: Być może. Mamy jedną piosenkę z oryginalnym, chociaż trochę uwspółcześnionym tekstem. Nosi ona tytuł „Siedem” i jest w niej mowa o mordowaniu dzieci przez matkę. Można powiedzieć, że jest to temat w dzisiejszej Polsce bardzo aktualny. Pamiętam, jak po występie na Festiwalu Nowa Tradycja podszedł do nas pewien pan i nie krył swojego oburzenia. Nakrzyczał na Magdę Wieczorek-Duchewicz, jak ta śmie śpiewać takie rzeczy, kiedy na sali znajdują się dzieci. Ona starała się spokojnie mu wytłumaczyć, że jest to tradycyjna ballada z XVI w. i pretensje co do ewentualnej drastyczności przekazu należy kierować do jej autora.

MW: Trudno uciec od stereotypów. Tradycja, a już wiejska szczególnie bywa postrzegana jako model patriarchy. A przecież na wsi przetrwało wiele tradycji, często jeszcze pogańskich, które zupełnie inaczej definiują rolę kobiety. Czy czujecie się czarownicami?

PN: Póki co jesteśmy na etapie uwspółcześniania starych rzeczy, ale w przyszłości... Fajny pomysł, kto wie (śmiech). Nigdy o tym nie myślałyśmy, nikt tego wprost nie nazwał, ale trochę tak jest rzeczywiście...

HM: Na pewno wszystkie zdajemy sobie sprawę jak silna jest kobieca natura i jak ważna jest dla nas. Każda z nas jest silną osobowością. Praca nad muzyką i połączenie tak różnych sposobów myślenia o muzyce bywa czasem nie lada wyzwaniem. Fajne jest to, że zawsze staramy się dogadać. Jest to nie tylko muzyczne spotkanie, ale też poszukiwanie własnego brzmienia...

PN: Plecenie warkocza (śmiech). Czasami jest nam bardzo łatwo go zapleść, a czasami siedzimy i nie jesteśmy w stanie stworzyć nowego numeru. A na końcu jeszcze się obrażamy na siebie. Na szczęście potem pojawia się impuls, ten najprzyjemniejszy moment dla każdego artysty i w jednej chwili wiemy, co chcemy osiągnąć.

MW: Co sprawiło, że zaczęłyście grać razem? Czy to forma ucieczki od muzyki popowej?

PN: My od niczego nie uciekamy. Czerpiemy z różnych źródeł. Zanim powstały Same Suki, każda z nas uczestniczyła w wielu innych projektach. My nie zaczynamy swojej przygody z muzyką. Ja muzycznie działam już niemal 19 lat. Regularnie gram w zespole wykonującym muzykę celtycką. Grywam muzykę bałkańską, żydowską, sefardyjską, Same Suki to dla mnie kolejny etap muzycznego rozwoju. Większość z nas można znaleźć w innych projektach. Całe nasze życie kręci się wokół muzyki. Każda z nas szuka czegoś nowego. Kiedy muzyk przestaje szukać, przestaje być muzykiem.

HM: Każda z nas inaczej się rozwijała, ja jestem po 18 latach klasycznego grania na skrzypcach. Muzyką źródeł interesowałam się od zawsze, wychowałam się w górach, moi rodzice uwielbiali muzykę góralską. Może „fizycznie” muzyką etniczną zajmujemy się od roku, ale była ona obecna w moim życiu od zawsze. Tak naprawdę to styl życia ukierunkował nas w tę stronę.

MW: Jeśli mówimy o poszukiwaniach, to nie mogę nie zapytać o instrumenty, na których gracie.

HM: Ja i Marta Sołek gramy na fidelach kolanowych, paznokciowych, tj. na suce biłgorajskiej i fideli płockiej. Kluczowa jest oczywiście suka biłgorajska, instrument zapomniany na sto lat i zrekonstruowany dopiero 20 lat temu. Nie zachował się do

naszych czasów żaden egzemplarz, do rekonstrukcji musiała wystarczyć akwarela Wojciecha Gersona.

PN: Eksperymentujemy z bardzo różnymi instrumentami, czego przykładem może być rebab. Jest to strunowy instrument smyczkowy podobnie jak fidele, ale brzmi zupełnie inaczej. Ten turecki instrument wykorzystujemy w polskich melodiach ludowych, gdzie świetnie się sprawdza. Ja gram na bębnach obrczowych, które pochodzą z tej samej tradycji co rebab. W naszych utworach można usłyszeć instrumenty z różnych stron świata takie jak zanza, cajon, bendir czy darabuka. Justyna Meliszek jest głównie muzyczką klasyczną, gra na wiolonczeli i coraz lepiej się odnajduje w etnicznym graniu, umiejętnie łącząc je z klasycznym brzmieniem. No i oczywiście jest Magda, która nie śpiewa białym głosem...

HM: ...i o to właśnie chodziło. Niektórzy mieli do nas o to pretensje, a my po prostu nigdy nie chcieliśmy, by było inaczej. Im więcej mamy utworów, tym więcej wprowadzamy nowych elementów, instrumentalnych też. Wszystkie eksperymentujemy, a przez to, że każda z nas jest inna i każdy z tych instrumentów jest tak inny, to mamy szansę nawzajem się inspirować. Chcemy delikatnie poeksperymentować z elektroniką. Ostatnio kupiłam sobie elektryczną lirę kreteńską. Zobaczymy, co z tego wyjdzie, niektóre rzeczy na próbach przejdą, a inne nie.

MW: Jak ważnym dla waszej kariery był Festiwal Nowa Tradycja?

PN: Pierwszy koncert, który zagrałyśmy razem, miał miejsce na Nowej Tradycji w kwietniu 2012 r. I tak się złożyło, że zaowocowało to nagrodą w postaci sesji nagraniowych w studiu Polskiego Radia. Płyta, nad którą pracujemy, będzie nagrywana właśnie tam. Korzystając z okazji, chciałabym wyjaśnić, że zespół Same Suki nie powstał na potrzeby festiwalu Nowa Tradycja. Powstał dużo wcześniej, a pewne sprawy niezależnie od nas spowodowały, że musiałyśmy trochę zwolnić tempo. Przez ostatni rok regularnie odbywały się próby, pracowałyśmy nad materiałem na płytę. Ci, którzy myśleli, że powstałyśmy na potrzeby festiwalu, ostro się wkrótce zdziwią.

MW: Powoli szykuje się nowa płyta i zapewne nowa trasa koncertowa?

PN: Płyta się szykuje, trasa koncertowa mniej, ale już parę koncertów jak najbardziej. Mamy mnóstwo miejsc, które się do nas zgłaszają z propozycją zagrania. Być może damy koncerty już w kwietniu w Warszawie, Poznaniu, Zamościu... Są już konkretne plany, teraz trzeba je tylko zrealizować. Płytę planujemy zacząć nagrywać w kwietniu, powoli dopinamy materiał. Oczywiście to tylko plany, bo po drodze może wyskoczyć mnóstwo różnych rzeczy. Jesteśmy już faktycznie umówione w Polskim Radiu i tylko od nas zależy, czy będziemy w 100 procentach przygotowane, żeby wejść, czy może trochę przesunąć to w czasie. Nie chcemy nic robić na siłę, przede wszystkim chcemy być zadowolone z efektu końcowego. Wymaga to cierpliwości i dłuższego posiedzenia nad materiałem, który już mamy. Do końca roku płyta powinna być już do kupienia. Teraz pracujemy nad stroną internetową.

MW: Już nie mogę doczekać się efektów. Czy w tym, co robicie, czujecie wsparcie środowiska?

PN: Myślę, że zdania co do tego, co robimy, są podzielone. Jak w każdym środowisku. Są tacy, którzy będą nam kibicować i tacy, którzy z radością przyjmą każde nasze dotknięcie. My staramy się robić swoje, w sposób jak najbardziej profesjonalny. Mogą mówić o nas źle, ważne by w ogóle mówili (śmiech).

HM: Muzykom, którzy chcą robić coś fajnego w naszym kraju jest ciężko. Realizacja niekomercyjnych projektów bywa bardzo trudna. Niezależnie od tego, czy jest to muzyka etniczna, jazzowa czy jakakolwiek inna. I choć bywa ciężko, nikt z nas nie zastanawia się nad tym, czy nie pójść pracować do Biedronki. Nam się po prostu bardzo chce, muzyka jest naszą pasją. My nie widzimy sensu życia bez muzyki, tworzenia, prób, bez poznawania nowych ludzi.

Helena Matuszewska – suka biłgorajska, rebab turecki, skrzypce. Absolwentka UMFC w Warszawie, w klasie skrzypiec. Na stałe gra w zespołach Naneli Lale, Same Suki, Lans Makabr, Neros Ensemble. Współpracuje z grupą teatralną Squad Form. Pochodzi ze Spisza.

Patrycja Napierała – multiinstrumentalistka związana z czołowymi wykonawcami polskiej sceny ethno – Shannon, Same Suki, Kayah&Transoriental Orchestra oraz Maayan i wiele innych. Prowadzi warsztaty bębniarskie. Strona www: <http://patrycjanapierała.pl/>

.....
Kasia Nawratek

Orkiestra

Zawsze jest gorąco, a powietrze duszne i ciężkie. Ania wyraźnie czuje zimną, oszronioną butelkę wody mineralnej w ręce. Idzie przez wielką halę pełną ludzi i szuka wzrokiem niebieskiej bluzki mamy. Jest! Mama stoi w kolejce, wachluje się paszportem i dmucha sobie w jasną w grzywkę dla ochłody. Nagle śliska butelka wysuwa się Ani z ręki i turla gdzieś w kąt pomiędzy stos walizek. Ania na kolanach przeszukuje podłogę, ale jak na złość, butelki nigdzie nie ma. A przecież tak bardzo jej się spieszy, a mamie tak bardzo chce się pić...

Kiedy w końcu podnosi się z kolan, hala jest już prawie pusta.

– Mamo! – krzyczy Ania i zaczyna biec. Ale mama znika właśnie za szarymi drzwiami, które zasuwają się za nią nieodwołalnie. Ania stoi na środku pustej hali i nie może zrobić kroku. Nie może wydobyć głosu. Jest jak skamieniała. Może tylko patrzeć.

Najpierw czuje wiatr na rozpalonej twarzy. A potem szare drzwi rozsuwają się bezszelestnie i staje w nich pierwszy rząd orkiestry z kapelmistrzem na czele. Muzycy w górniczych mundurach stoją ustawieni w czworobok, a wiatr mierzwi im czerwone pióropusze u czapek. Czarne mundury odcinają się wyraźnie na tle szarego tła, które nagle staje się białe, jak rozżarzone upałem niebo. Lśnią instrumenty i guziki.

Muzycy wydymają policzki i rytmicznie unoszą nogi w wypolerowanych czarnych butach. Przez chwilę maszerują w miejscu. A potem ruszają wprost na Anię.

Idzie orkiestra, krok za krokiem. Raz, dwa. Raz, dwa.

Czarne mundury. Czerwone pióropusze.

Raz, dwa. Raz, dwa!

Złote guziki! Raz...

Ania chce uciekać, ale nie może się ruszyć. Chce krzyczeć, ale nie potrafi wydobyć głosu. Może tylko patrzeć.

Mundury, pióropusze, złoto.

Coraz bliżej... Bliżej...dwa!

Zwykle wtedy Ania się budzi.

– Jesteś już duża – mówiła często babcia – i tyle powinnaś już wiedzieć.

Powinnaś, powinnaś. Powinnaś wstawać rano bez marudzenia. Powinnaś myć zęby po jedzeniu, a ręce przed. Powinnaś mówić po angielsku, mieć dobre stopnie, mówić proszę, dziękuję i przepraszam. I zjadać wszystko, co masz na talerzu. Nawet jeśli jest zimne i rośnie w ustach. A co powinien tata? Tata powinien pracować i przynosić do domu pieniądze. Tak powiedział wujek Darek, ten, co ma nowe mieszkanie, skórzaną sofę, ekspres do kawy, służbowe auto i telefon.

– Widzisz Andrzej – mówił wujek do taty – mężczyzna powinien zarabiać. I kropka. – Tata zrobił się strasznie czerwony na twarzy na te słowa, a wujek Piotrek położył mu rękę na ramieniu. Wujek Darek w pomiętym garniturze tylko się śmiał i powtarzał:

– I kropka, i kropka.

To były urodziny babci i wszyscy siedzieli śtółczy przy stole. Ania dostała kawałek sernika i poszła oglądać rybki w akwarium w dawnym pokoju wujka Piotra. Kiedy po jakimś czasie wróciła po następny kawałek ciasta, w pokoju było głośno i siwo od dymu papierosowego. Dziadek siedział w swoim fotelu i słuchał opowieści wujka Darka z uprzejmym, trochę nieobecny uśmiechem.

Przy drugim końcu stołu babcia rozmawiała cicho z mamą Ani i ciocią Joasią.

– Pielęgniarka, a co to za praca, tak w ogóle? – wykrzykiwał wujek Darek. – Podcieranie tyłków!

Mama podniosła głowę na te słowa i zauważyła Anię stojącą w drzwiach. Zrobiło się cicho i wszyscy zastygli bez ruchu. Przez chwilę jedyną ruchomą rzeczą w pokoju był dym

unoszący się z zapalonego papierosa, który trzymał w ręku wujek Darek. Nagle mama zerwała się ze swojego miejsca. Straciła talerzyk, który spadł ze stołu z głośnym brzękiem.

– Musimy już iść! – wykrzyknęła i popatrzyła błagalnie na tatę.

– Ale co się obrażasz, Agnieszka, no! – wykrzykiwał wujek Darek i drżącą ręką dolewał sobie do kieliszka. Ktoś wyłączył telewizor, zrobiło się cicho i goście zaczęli się zbierać do wyjścia. Tylko wujek Darek tkwił na swoim miejscu. Wyjadał palcami grzybki z miseczek i na nic innego nie zwracał uwagi.

Kiedy wyszli, na dworze było cicho i świecił wielki Księżyc.

– Mamo, czy ty podcierasz tyłki w pracy? – zapytała Ania.

– Jakich ty słów używasz?! – zdenerwował się tata.

Mama zatrzymała się, stanęła naprzeciwko Ani, położyła jej ręce na ramionach i popatrzyła jej w oczy.

– Ktoś to przecież musi robić.

– Ale dlaczego ty? – chciała wiedzieć Ania.

Mama westchnęła.

– Nie szanujesz matki pracy! – wściekł się tata.

– Daj spokój, Andrzej. Przecież dziecko nie rozumie...

– Jestem tu! – pisnęła Ania.

– To nie tak... – zaczęła mama, ale tata jej przerwał.

– Nie rozumie, nie rozumie! Wszystko rozumie! Rozumie, że nikt tej twojej pracy nie szanuje!

Mama nic na to odpowiedziała, tylko ścisnęła Anię mocniej za rękę i pociągnęła za sobą. Nic już nie mówili aż do samego domu. Ania dobrze zapamiętała ten wieczór z wielkim Księżycem na niebie. Tata bardzo się przejął tym, co mówił wujek Darek i chyba dlatego pojechał do Anglii zarabiać pieniądze. A może bardziej przez te długie? W każdym razie, tata nie mógł przestać o tym myśleć i już następnego dnia rano zaczął opowiadać o swoich kolegach, którzy wyjechali, a teraz już swoje domy w Polsce budują.

– Tam ciebie też by szanowali – smażył jajecznicę na śniadanie, a mama kroїła pomidory.

– A przynajmniej z szacunkiem by ci płacili za twoją pracę! Tu już nie chodzi o pieniądze – machał drewnianą łyżką tata.

– A o co? – zapytała poważnie mama.

– O szacunek chodzi. O to, żebyśmy w końcu żyli jak ludzie.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że czuje się świetnie. Jakby ktoś zdjął jej z ramion wielki ciężar. Była lekko zdyszana, a na policzkach miała rumieńce. Najważniejsze, że przestała boleć ją brzuch. Usiadła z tyłu w pustym tramwaju i zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu drobnych na bilet. Tak była tym zajęta, że nie zauważyła, gdy tramwaj się zatrzymał. Po chwili usłyszała nad sobą głos:

– Bileciki do kontroli!

Ania zdrętwiała. Już miała podnieść głowę, gdy jej wzrok przykuły dwie pary nieskazitelnie białych tenisówek na nogach kontrolerów. Z tenisówek wystawały bardzo chude nóżki. To samo w sobie nie było dziwne, ale fakt, że te chude nóżki były porośnięte żółtymi piórami... Ania powoli podniosła głowę i napotkała wyczekujący wzrok dwóch ludzkiego wzrostu kanarków. Oprócz białych tenisówek miały na sobie odbłaskowe kamizelki i granatowe czapki z napisem „Kanar” starannie wyszytym złotą nitką.

– Dzień dobry, bilecik panienska ma? – zapytał jeden, a drugi postukał ołówkiem w otwarty notatnik. Ania, niezdolna wykrztusić słowa, tylko pokręciła głową.

– Niech panienska lepiej sprawdzi w kieszeni, nigdy nie wiadomo – poradził serdecznie ten z notatnikiem.

Jak we śnie, Ania posłusznie sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyciągnęła z niej trzy kasztany, pomarańczowy sznurek i ku swojemu zdziwieniu znalazła w niej też mały zielony kartonik z napisem Byle Dalej.

– Byle Dalej to trzeci przystanek licząc od następnego – powiedział drugi. – Lepiej niech panienska wysiądzie, bo inaczej zajędzie aż do Pętli, a stamtąd rzadko co jeździ.

Kanary wysiadły i Ania została w tramwaju całkiem sama. Rozejrzała się i gdyby po spotkaniu z kanarami była w stanie się jeszcze zdziwić, zrobiłaby wielkie oczy, pokręciła głową i wyszeptwała: to niemożliwe! Zamiast tego po prostu cichutko się roześmiała i zaczęła oglądać wnętrze tramwaju, który jesz-

cze przed chwilą był zwyczajnym miejskim tramwajem. Takim z twardymi pomarańczowymi siedzeniami, zapachem gumy i rdzy wżartymi na stałe w powietrze w środku, i drzwiami, które otwierają się z głośnym klekotem. Do takiego tramwaju wsiadła, ale ten, którym jechała teraz, pachniał cynamonem, miał w oknach firanki, a na podłodze puszystą granatową wykładzinę. Przez jego delikatne, mlecznie białe ściany prześwitywał granatowy wzorek i Ania czuła się w nim jak w porcelanowym czajniczku do herbaty. Z przyjemnością pogładziła granatowy plusz kanapy, na której siedziała. Nad oknem z firanką zamiast zwykłych bagrołków, które szpeciły znane jej tramwaje, widniał pięknie wykalfografowany złoty napis:

Nie śmieję, nie kładę nóg na siedzeniach, nie dziwię się

Postanowiła wziąć sobie do serca te słowa i nie dziwić się niczemu.

[...]

Czerwona cegła, czerwone ramy okien, czerwone liście i rude trawy, kolejne czerwone duże T na żółtym tle wymalowane na okrągłej planszy na kolejnym pustym przystanku. Ania ścisnęła w rękę bilet i myślała jeszcze raz policzyła przystanki. To już następny!

I znowu ta czerwień, jeszcze więcej czerwień, tak dużo, że Ania ze zdziwieniem przyjrzała się swoim zaróżowionym nagle ręką. Nawet porcelanowe ściany tramwaju nabrały lekkiego rumieńca. Przez okna wlewał się do wnętrza kolor setek maków, których głowy wielkości rozłożonych parasoli kołysały się poruszone pędem tramwaju. Zaczął zwalniać, a w końcu zatrzymał się ze zgrzytem. Ania stała przy drzwiach, uwieszona złotej rurki i gotowa do wysiadania. W końcu drzwi otworzyły się z głośnym klekotem i oczom Ani ukazało się czerwone morze maków sięgające horyzontu. Zwykła uliczna latarnia, betonowe szczątki ławeczki od dawna pozbawione drewnianego siedziska. Poza tym nic, tylko gdzie nie spojrzeć maki, na delikatnych włośnatych łodyżkach, wysokie jak drzewa, a pomiędzy nimi suche makówki. I cisza. Jak makiem zasiał.

Fragmety książki Kasi Nawratek „Czerwone Piórko”.

proj. okładki i ilustracje: Ola Szmida

Książkę można ściągnąć w postaci audiobooka:

<http://czerwonepiorko.bandcamp.com/>



Czego uczą nas małpy

O tym, jak Jane Goodall, Dian Fossey i Birute Galdikas, trzy badaczki obserwujące życie naczelnych zmieniły definicję człowieka, opowiada dr Maria Pawłowska, biologka i wykładowczyni gender studies, w rozmowie z Marcinem Wrzosem.

Marcin Wrzos: Badania nad naczelnymi, jakie podjęły na początku lat 60. Jane Goodall, Dian Fossey i Birute Galdikas zmieniły definicję człowieka. Ich inicjatorem był Louis Leakey. Co leżało u podstaw decyzji o podjęciu tych badań?

Maria Pawłowska: Louis Leakey był antropologiem, badania nad naczelnymi miały w jego odczuciu dawać szansę na lepsze zrozumienie ewolucji naszego gatunku. Jednakże, jak już teraz wiemy, nasze linie ewolucyjne rozdzieliły się z najbliższymi z nami spokrewnionymi szympancami już 7 mln lat temu. Co więcej, ewoluowaliśmy w zupełnie innym środowisku. W trakcie badań naczelnych odkryto wiele różnic między ich strukturą społeczną a naszą, jak i zaskakujące sposoby na rozwiązywanie konfliktów w grupie. Badaczki notowały każdy ruch badanych osobników, nikomu wcześniej nie przyszło do głowy, że może być to ciekawe.

MW: Dobór osób dokonany przez Leakeya był niezwykle. Nie były to osoby z doświadczeniem naukowym.

MP: Birute Galdikas, która po dziś dzień zajmuje się orangutanami, robiła doktorat z antropologii. Ona jako jedyna miała ściśle naukowe wykształcenie i wiedziała, co dokładnie chce robić. Jane Goodall była po kursie sekretarskim, Dian Fossey była terapeutką. Zadecydował przypadek. Jane Goodall chciała się wyrwać z Anglii, wyjechała na wycieczkę do Kenii i poznała Leakeya, który prowadził tam wykopaliska. Potrzebował kogoś na tyle niedoświadczonego i naiwnego, by podjął się niemal samobójczej misji polegającej na siedzeniu samotnie miesiącami w dżungli, chodząc krok w krok za unikającymi ludzkiego towarzystwa szympancami. Miał ponadto taki pomysł, że powinna być to kobieta, bo kobiety są bardziej empatyczne. Było to myślenie wynikające ze stereotypów. W momencie, kiedy proponował Jane Goodall prowadzenie badań, Leakey nie był jeszcze przekonany o jej niezwykłej inteligencji. Decydujące tak naprawdę było to, że miała czas i chciała się ich podjąć.

MW: Jak badania zostały przyjęte w środowisku naukowym? Pojawiały się zarzuty antropomorfizacji...

MP: Zarzuty wobec Jane Goodall wynikały z tego, że była spoza systemu. Ostatecznie był to jednak jej wielki atut. Nie mając wykształcenia biologicznego, nie wiedziała, że wedle naukowców zwierzęta „nie mają” osobowości i są tylko automatami zajmującymi się reprodukcją i zdobywaniem pożywienia. Zaczynała badania ze świeżym umysłem i dzięki temu zrobiła to, co zrobiła. Już po pół roku dokonała rewolucyjnego odkrycia, że nie jesteśmy, jak wówczas sądzono, jedynym gatunkiem używającym narzędzi, co doprowadziło do zmiany definicji człowieka. Wtedy zainteresowano się szerzej jej pracą i gdy okazało się, że jest tylko po kursie sekretarskim, eksternistycznie zapisano ją na doktorat w Cambridge.

Metodologii jej badań nie można nic zarzucić. Owszem, nadawała ona zwierzętom „ludzkie” motywacje, w tym sensie, że inne niż „rozmnazać się, jeść, defekować”. Wtedy jeszcze nie wierzono, że zwierzę może np. coś zrobić, bo lubi się bawić. Jane Goodall nie tyle ucłowieczyła szympancy, co dostrzegła, że zachowania uważane za właściwe wyłącznie ludziom okazują też zwierzęta. Zapoczątkowała w ten sposób całą serię podobnych badań na innych gatunkach.

MW: Na ile badania wywołały rewolucję w postrzeganiu miejsca człowieka w naturze?

MP: To jest trochę optymistyczne myślenie. W momencie, kiedy dostrzeżono, że szympancy używają narzędzi, zmieniono tylko definicję, a nie to, jak postrzegamy nasze miejsce w przyrodzie. Poza naczelnymi są jeszcze inne gatunki, których zachowania stawiają naszą wyjątkowość pod znakiem zapytania. Im więcej wiemy o delfinach, tym bardziej wydają się one nam „ludzkie”. Delfiny mają różne kultury, pomagają słabszym osobnikom w grupie, uprawiają seks dla przyjemności, a nawet, jako jedyne znane nam zwierzęta poza człowiekiem, dopuszczają się przemocy seksualnej na innych gatunkach. Według mnie jednak mniej ważne od tego, co nas od zwierząt różni bądź nie, jest to, jak je traktujemy. Pora przestać zachowywać się jak właściciele całej planety i przyjąć do wiadomości, że jesteśmy jako gatunek tylko jednym z jej mieszkańców.

MW: Czy w takim razie jest coś, co wyróżnia nasz gatunek?

MP: Nowe światło na naszą gatunkową odrębność rzucają badania innej jeszcze naukowczyni, Sarah Blaffer Hrdy. Badając macierzyństwo odkryła, że u ludzi instynkt macierzyński nie istnieje. Kobiety są co prawda przystosowane do urodzenia potomstwa i jego odkarmienia, ale nie mają wrodzonej „instrukcji obsługi” dzieci. Co więcej, od naczelnych i właściwie wszystkich innych gatunków różni nas to, że rodząca kobieta wymaga pomocy innej osoby. To ewenement w świecie przyrodniczym, że matka nie jest zazwyczaj pierwszą osobą, która dotyka swojego potomstwa.

U naczelnych potomstwo jest przez pierwsze miesiące życia uczepione matki non stop. Struktura społeczna ludzkiego stada i neurobiologia niemowlęcia przystosowane są do tego, by zajmowało się nim wiele osób na raz. Ludzkie dziecko rozpoznaje więcej twarzy, podczas gdy u naczelnych małe bardzo długo poznaje tylko matkę. Zatem to, co nas naprawdę odróżnia od naczelnych, to fakt, że ludzkie noworodki i ludzka struktura społeczna zostały stworzone do gromadnej opieki nad dzieckiem. Politycy bardzo często mówią, że kobiety powinny spędzać z dziećmi pierwsze 3 lata ich życia, powołując się na to, że jest to naturalne. Nie ma to pokrycia w nauce. Grupy ludzkie nie mogły sobie pozwolić, by kobieta była wyjęta z partycypacji w życiu społecznym nawet przez kilka miesięcy. Dzieci są przez ewolucję dostosowane do kontaktu z wieloma osobami, więc żłobki i przedszkola są bardziej naturalne niż zamykanie kobiet z dziećmi w czterech ścianach.

MW: Politycy szczególnie ostatnio bardzo chętnie powołują się na to, co naturalne...

MP: Kiedy politycy mówią o tym, co naturalne, oznacza to najczęściej, że zamierzają dyskryminować kobiety lub mniejszości. Zamykanie przedszkoli po 1989 r. motywowano ideologicznie, powoływano się właśnie na to, co naturalne. Ostatnio widać było to podczas debaty o związkach partnerskich, kiedy homoseksualizm przedstawiano jako coś sprzecznego z porządkiem naturalnym, podczas gdy występuje on u ponad 900 gatunków. W naturze czymś nienormalnym jest więc tylko homofobia.

.....
Maria Pawłowska jest biologką, feministką, wykładowczynią gender studies.
Twitter: @MariaPawlowska.



Jane Goodall – Fot. flickr.com by World Bank Photo Collection



Birute Galdikas – flickr.com by Maritime Aquarium at Norwalk



fat. flickr.com by Fat Steel Panda 2_1

Birute Galdikas – fot. Flickr.com by SFU Public Affairs and Media Relations



Na co choruje ochrona zdrowia

Relacja z międzynarodowej konferencji „Wszyscy jesteśmy pacjentami” zorganizowanej przez Ogólnopolski Związek Zawodowy Pielęgniarek i Położnych 6.10.2012 w Warszawie. Tematem były przemiany ochrony zdrowia w różnych krajach Europy, oglądane z punktu widzenia zarówno jej pracowników, jak i pacjentów.

Oszczędności czy spijanie śmietanki?

Prof. Wiesława Kozek z Uniwersytetu Warszawskiego przedstawiła wyniki badań nad prywatyzacją szpitali w wybranych krajach. Tendencja do prywatyzowania szpitali pojawiła się na początku lat 90. w całej Europie. Prof. Kozek podkreśliła, że pokusa prywatyzacyjna nie wynika z kondycji ekonomicznej szpitala – pojawia się zarówno wtedy, gdy szpital przynosi dochód, jak i wtedy, gdy przynosi stratę.

W prywatyzowanych szpitalach dochodzi do redukcji personelu (w Polsce, Niemczech, Szwecji, Wielkiej Brytanii). Zmieniają się formy zatrudnienia: na niepełny etat, na czas określony, na zlecenia, na kontrakty – każdy kraj ma swoją „preferowaną” formę nietypowego zatrudnienia. W efekcie lekarze nie mogą już strajkować, znikają lub słabną związki zawodowe. Następuje stopniowy outsourcing: najpierw sprzątnięcie, pranie, gotowanie, a następnie funkcje medycznych, zaczynając od laboratoriów aż po zadania ściślego personelu medycznego.

Z punktu widzenia interesu publicznego ważne jest zjawisko „creamingu” (spijania śmietanki). Z badań Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego wynika, że szpitale prywatne chętnie wykonują dochodowe zabiegi, pozostawiając zabiegi kosztowne bądź ryzykowne szpitalom publicznym. Prof. Kozek opowiedziała o znajomej, której prywatny szpital odmówił zoperowania krótkowzroczności, motywując to jej wiekiem i odsyłając ją... do publicznego szpitala. Funkcjonowanie prywatnych szpitali obok publicznych oznacza więc w praktyce, że zyski trafiają do prywatnych kieszeni, natomiast koszty przerzucane są na szpitale publiczne.

Prywatyzacja to nie fatum

Następnie zabrał głos Marek Balicki. Były minister zdrowia zauważył, że w Polsce od wielu lat, często bez publicznej dyskusji, podejmuje się decyzje przekierowujące system opieki zdrowotnej z opcji wspólnotowej na rynkową. I to mimo tego, że Konstytucja zobowiązuje państwo do zapewnienia każdemu równego dostępu do ochrony zdrowia finansowanej ze środków publicznych (Art. 68) i że zawarta jest w niej zasada sprawiedliwości społecznej (Art. 2).

Politycy podejmujący decyzje skutkujące u rynkowieniem ochrony zdrowia ignorują nie tylko swoje konstytucyjne obowiązki, lecz także doświadczenia innych krajów. Istnieją wystarczające dowody, że mechanizmy rynkowe nie zapewniają optymalnej alokacji środków w opiece zdrowotnej. Przykład USA dowodzi, że system oparty na prywatnych ubezpieczeniach nie działa ani taniej, ani rozsądniej od systemów publicznych, a na dodatek nie zapewnia powszechnego dostępu do ochrony zdrowia. Pouczający



Warszawa-Centrum_Zdrowia Dziecka – fot. wiki by Cezary p

jest też przykład prywatyzacji szpitali w Hamburgu. Spowodowała ona redukcję zatrudnienia, spadek jakości opieki medycznej i wzrost liczby skarg ze strony pacjentów.

Prywatyzacja ochrony zdrowia nie jest fatum, jak pokazuje przykład Słowacji. Jest tam system mieszany: jeden publiczny ubezpieczyciel obsługuje 2/3 ludności, resztą zajmuje się dwóch ubezpieczycieli prywatnych. Premier Robert Fico postanowił jednak przywrócić jednolity system ochrony zdrowia. Stwierdził, że „niemoralne jest czerpanie zysków z publicznych pieniędzy” i że każde euro w systemie ochrony zdrowia powinno iść na świadczenia medyczne, a nie na czyjś zysk.

Balicki podkreślił, że jeśli będziemy kiedyś musieli odbudowywać publiczną opiekę zdrowotną od podstaw, to będzie to znacznie droższe niż utrzymywanie publicznych szpitali tu i teraz.

Szpitale, kapitalizm, demokracja

Na szerszy kontekst prywatyzacji wskazywał niemiecki lekarz Klaus Engert. Engert podkreślił, że w ostatnich 20–30 latach mamy do czynienia z ogólniejszym procesem prywatyzacji dóbr publicznych. Wiąże się to ze spadającą stopą zysku kapitalistów i poszukiwaniem przez grupy kapitałowe nowych obszarów akumulacji. W Niemczech kiedyś większość szpitali była własnością publiczną, mniejsza część była i nadal jest w rękach kościołów, a bardzo niewiele było szpitali prywatnych. W 2011 r. po raz pierwszy było więcej szpitali prywatnych niż publicznych.

W prywatyzowanych szpitalach pogarszają się płace i warunki pracy. Większe obciążenie pracą bezpośrednio przekłada się na pogorszenie jakości opieki. Wykonuje

się niepotrzebne procedury medyczne tylko po to, aby czerpać z nich zysk (dotyczy to np. 50–60% endoskopii). Prywatni właściciele nie są zainteresowani utrzymaniem szpitali z powodów geograficznych. Bywa, że niedochodowe szpitale są zamieniane w hotele, co skutkuje zwiększeniem dystansu ludzi do najbliższego szpitala.

Większość ludzi w Niemczech jest przeciwna prywatyzacji szpitali, ale politycy z różnych partii nie zawsze liczą się z ich głosem. Referenda w tej sprawie odbyły się m.in. w Dreźnie (84% przeciw prywatyzacji) i w Hamburgu (76%). W Hamburgu sprywatyzowano szpitale, ignorując wynik referendum. Opór wobec takiej polityki rośnie w społeczeństwie oraz wśród pracowników i pracownic ochrony zdrowia. Musimy upomnieć się o zasadę, że zdrowie to nie towar, to dobro publiczne – konkludował Engert. Potrzebna jest deprivatyzacja całego sektora opieki zdrowotnej.

Od narodowej religii do „drzwi obrotowych”

Kolejnym mówcą był Nicholas Csergo, aktywista ruchu w obronie NHS (National Health Service). NHS to jedyna instytucja w Wielkiej Brytanii namiętnie kochana przez społeczeństwo, coś w rodzaju „narodowej religii”. Dlatego nawet konserwatyści nie mówią, że są przeciw NHS – w kampaniach wyborczych zapewniają, że chcą ją chronić.

Jednak już od ponad dwóch dekad następuje marketyzacja brytyjskiej służby zdrowia. Za czasów Thatcher i Majora wprowadzono podział na „płatnika” i „dostarczycieli” świadczeń medycznych, stworzono „wewnętrzne rynki” w ochronie zdrowia, rozpoczął się outsourcing żywienia, sprzątnięcia itp. Rządy laburzystów pod wodzą Blaira oznaczały promowanie

partnerstwa publiczno-prywatnego, które wywindowało koszty i wygenerowało ogromne długi, bo prywatny inwestor musiał zarobić. Pojawiło się zjawisko „drzwi obrotowych”. Co najmniej trzech byłych ministrów zdrowia pracuje dziś w sektorze prywatnym, nie mówiąc już o trudnych do policzenia masach niższych (eks)urzędników.

Powrót konserwatystów pod wodzą Camerona w 2010 r. oznaczał dla służby zdrowia katastrofę: koniec obowiązku zapewniania przez państwo całościowej opieki medycznej, pozwolenie szpitalom na pobieranie opłat od pacjentów, zezwolenie publicznym szpitalom na przyjmowanie przytłaczającej większości pacjentów „prywatnie”, redystrybucja środków do sektora prywatnego pod zwodniczym hasłem „oddania władzy w ręce lekarzy rodzinnych”. Zarazem konserwatyści konsekwentnie zaprzeczają, że chodzi im o prywatyzację. Mimo nakazu sądu rząd odmówił też upublicznienia raportu dotyczącego ryzyka medycznego związanego z wprowadzanymi reformami.

Ochrona zdrowia „chora na Europę”

Poranną część konferencji zamknął belgijski pielęgniarz i związkowiec Yves Helleendorf, rzecznik organizacji Santé Solidarité, walczącej o dostępną dla wszystkich ochronę zdrowia wysokiej jakości. Podkreślił, że w całej Europie mamy do czynienia z tym samym problemem: niedofinansowanie publiczne odpowiada za kruchość usług medycznych non profit. Funkcjonowanie prywatnej ochrony zdrowia rozbija system oparty na solidarności, bo wysysa zamożniejszych pacjentów i opłacalne procedury, obciążając pozostałymi sektor publiczny. Ten mechanizm działa we wszystkich krajach Europy, choć na różnym

stopniu zaawansowania.

Belgijska ochrona zdrowia jest „chora na Europę”, gdyż Unia Europejska narzuca we wszystkich dziedzinach życia „wolny rynek” i nieskrępowaną konkurencję. Zastrzeżenie prawa świadczenia usług medycznych dla organizacji non profit jest traktowane jako „nieeuropejskie”. Politycy w wielu krajach lubią mówić „Europa nam każe”. Ale to nieprawda – stwierdził Helleendorf. To my możemy narzucić naszą politykę Europie.

To tylko pierwsza część konferencji – po południu skupiono się na takich wątkach, jak jakość opieki zdrowotnej i bezpieczeństwo pacjentów. Na marginesie warto pokusić się o pewną refleksję. To znamienne, że międzynarodową konferencję, na której omawiano społeczne i zdrowotne konsekwencje prywatyzacji ochrony zdrowia w Europie, zorganizowały właśnie pielęgniarki. Pielęgniarki interesują się wnioskami z doświadczeń innych krajów i próbują animować publiczną debatę. Taka dyskusja istotnie mogłaby przynieść zmiany na lepsze, gdyby o odpowiedni poziom debaty zadbał również redaktorzy, dziennikarze czy publicyści mediów masowych. Albo gdyby odpowiedzialni za decyzje o systemie ochrony zdrowia politycy podejmowali je w oparciu o dowody naukowe, badania empiryczne czy doświadczenia innych krajów, a nie tylko modę, podszepty lobbystów i własne ugruntowane przesady. W sumie to jednak nic dziwnego, że te, które wraz z pacjentami jako pierwsze doświadczają na własnej skórze skutków kolejnych reform, są też najlepiej przygotowane do merytorycznej dyskusji na ich temat.

Notował Adam Ostolski.

Kiedy rozsądek przegrywa z oszczędnościami

ciąg dalszy ze str. 1.

Z Iwoną Borchulską, przewodniczącą Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych, rozmawia Adam Ostolski.

Projekt ogłoszono 18 października 2012 r. i wysłano do konsultacji społecznych. Uznałyśmy, że rozporządzenie będzie dobre, że zabezpiecza pielęgniarki jako pracownika.

AO: Co w nim takiego było?

IB: Był w nim np. zapis, że mają być co najmniej dwie pielęgniarki na zmianie. Żeby w nieprzewidywanych sytuacjach, gdy np. jedna zemdleje, był zawsze pod ręką ktoś drugi. Poza tym prawo pracy mówi, że kobiety nie mogą w tym kraju ponoć dźwigać więcej niż 25 kg, więc jedna pielęgniarka nie może sama podnosić pacjenta. Był zapis, że w minimalne normy nie wlicza się kadry kierowniczej, bo ona bezpośrednio nie pracuje przy łóżku. Osobiście jako pielęgniarka uważam, że ta kadra kierownicza winna przy łóżku od czasu do czasu popracować, ale nie może być uwzględniona w wymogach. Wychodziło 100 minut na pacjenta na dobę w pierwszej kategorii, 180 minut w II, 300 minut w III.

AO: Dlaczego liczby pielęgniarek nie określa się po prostu względem liczby łóżek?

IB: Tak się liczyło w latach 80. Wtedy obowiązywały tzw. „normy planistyczne”, dobre do tworzenia oddziałów i zabezpieczenia kadry. Określało się np., że na oddziale ma być 1 pielęgniarka na 10 łóżek, na bloku operacyjnym 2 osoby na stół. Inaczej na pediatrii, tam było 1,5 pielęgniarki na 10 łóżek dziecięcych. Ale za czasów Jerzego Buzka stwierdzono, że trzeba liczyć koszty, i nie można powiedzieć „1 pielęgniarka na 10 łóżek”, bo te łóżka mogą być puste. Wtedy pojawiło się wywalczone przez nasz związek w 1999 r. rozporządzenie, na podstawie którego liczyło się czas pracy pielęgniarek przy poszczególnym pacjencie.

Pielęgniarki musiały np. liczyć, że na pielęgnację jednego chorego w łóżku, kąpiel całego ciała potrzeba pół godziny, u innego 40 minut, a u jeszcze innego 35 minut, a następnie wyciągały średnią. Tak przez pół roku liczyły średni czas wszystkich czynności, które wykonywały, a na końcu, po podzieleniu przez czas dobowy, wychodziła ilość pielęgniarek.

Ale pracodawcy dalej oszczędzali na kosztach, głównie na pielęgniarkach, bo mieli wymogi dotyczące sprzętu i lekarzy. I kadra kierownicza naciskana przez pracodawców mówiła „Nie, nie, nie, ty nie możesz policzyć twojego czasu pracy według tych czasów, bo wychodzi ci, że ty pracujesz 14 godzin”. I nikt nie odważył się powiedzieć: bo robimy to kosztem jakości. Bo żeby dobrze tę kąpiel zrobić, potrzeba 30 minut, ale jak ją robimy byle jak, no to możemy udawać przez piętnaście. W końcu doszliśmy do wniosku, że tamto rozporządzenie się nie sprawdziło, nie rozwiązuje najważniejszego problemu...



AO: A na czym polega ten najważniejszy problem?

IB: Polega na tym, że pielęgniarek w Polsce jest za mało i drastycznie ich ubywa. I nikt nie jest w stanie powiedzieć, ile ich tak naprawdę powinno być. Mówi się, że w krajach unijnych też nie ma norm. To prawda, tylko tam jest zdrowy rozsądek. Nikt by sobie nie pozwolił, żeby ograniczyć np. drugą pielęgniarkę przy stole operacyjnym i nie mieć jej! Oni robią analizy codzienne: zadolenia pacjenta, kosztów wynikających nie tylko z prawa pracy, ale np. z powikłań. Nie trzeba być wielkim ekonomistą, żeby wiedzieć, że jak pacjent leży na stole i pielęgniarka jest sterylna, to musi mieć drugą, żeby jej niesterylne rzeczy podawała. Jak jej nie ma, albo jak ktoś nie wie, jak poruszać się w czystym polu, to zainfekuje pole, i pacjent będzie zakażony. Wtedy potrzebna jest dodatkowa terapia, antybiotyki, czasami druga operacja... to wszystko kosztuje i oni to liczą. W Polsce w ochronie zdrowia zdrowego rozsądku nie ma.

AO: Nie ma zdrowego rozsądku, ale jest rozporządzenie. Powiedziała pani, że pierwszy projekt był dobry, ale ostateczna wersja rozczarowuje. Co poszło nie tak?

IB: W październiku ministerstwo ogłosiło projekt i wtedy odezwali się pracodawcy. Zaprotestował Związek Powiatów Polskich. Powoływali się na badania Marka Wójcika, eksperta, który wyliczył, jak to trzeba będzie zatrudnić dużo dodatkowych pielęgniarek, jeśli rozporządzenie wejdzie w życie. Szczególnie w tych spółkach, gdzie brakuje 30% pielęgniarek, i że będzie to kosztować system 2 miliardy. Pokazał to premierowi, te 2 miliardy zrobiły na premierze ogromne wrażenie...

AO: Parę dodatkowych miliardów by się w ochronie zdrowia przydało...

IB: Tak, tylko wie pan, ten system jest bardzo źle zarządzany. Zatrudnienie większej liczby pielęgniarek wcale nie musi skutkować dodatkowymi kosztami, wystarczy wprowadzić standardy zarządcze. My nie mówimy w tej chwili o podwyżce pensji, my mówimy o warunkach pracy i bezpieczeństwie pacjenta. Z naszych analiz wynika, że w publicznych placówkach niedobory w świetle tego rozporządzenia kształtowałyby się na poziomie ok. 5%.

AO: Czyli nie jest tak źle.

IB: Natomiast jest źle w placówkach, które przekształcono w spółki. One drastycznie tną koszty na pielęgniarkach, tam są pojedyncze dyżury. Gdyby one musiały się przystosować do tego rozporządzenia, to przestałyby być tymi spółkami, które „nie mają strat”. To się tak przedstawia, że publiczne szpitale to są te niedobre, zadłużone, z przerostem zatrudnienia, natomiast te prywatne to są ci „dobrze zarządzający”. Ale publiczny szpital musi przyjąć każdego, a niepubliczny nie musi.

AO: Wróćmy do rozporządzenia.

IB: Zrobiła się awantura, bo pracodawcy zaczęli dostrzegać, że kończy się high life. Spotkałam na jakiejś konferencji pana Wójcika i on wygądał się: „Wie pani, ten drugi projekt rozporządzenia to jest już dobry”. Mówię: „Jaki drugi projekt?! Przecież konsultujemy projekt z 18 października”. „Nie, nie, wie pani, już jest nowy z 2 grudnia”. Więc grzecznie poprosiłam, czy może mi pokazać ten projekt i on mi go zrzucił na pendrive.

AO: I co dalej?

IB: Następnego dnia, 7 grudnia była konferencja uzgodnieniowa w ministerstwie. Proces tworzenia prawa w ministerstwie zdrowia jest taki, że najpierw jest projekt, później są konsultacje społeczne, wszystkie zainteresowane strony mają miesiąc na przysłanie opinii. A później musi się odbyć konferencja uzgodnieniowa, na której w oparciu o projekt

i nadesłane opinie dyskutuje się, jak konkretne zapisy powinny wyglądać. Uczestniczą w tym pracodawcy, związki zawodowe, samorządy, przedstawiciele rządu itd.

Kiedy zobaczyłam, że wisi zupełnie inny projekt niż ten, który wysłano do konsultacji, to się zirytowałam. Zapytałam, nad czym my pracujemy. Ministerstwo zaczęło się wycofywać, że to nie jest żaden nowy projekt, to jest materiał roboczy na to spotkanie. Zadzwoniłam szybko do naszej obsługi prawnej. I w efekcie wstałyśmy i powiedziałyśmy, że my jako związek zawodowy, a więc instytucja zobowiązana do przestrzegania prawa, nie możemy tutaj siedzieć na tej konferencji uzgodnieniowej, ponieważ prawo jest tworzone niezgodnie z zarządzeniem ministra zdrowia.

Wstałyśmy i wyszłyśmy. Napisałyśmy do ministra Arłukowicza o spotkanie. Nawet się spotkał, on się chętnie z nami spotyka, chociaż nic z tych spotkań nie wynika. Minister nas wysłuchał i powiedział, że jest też druga strona, że każdy ma prawo w procesie dialogu się wypowiedzieć. Nie wiem tylko, dlaczego jednych zawsze słuchają.

AO: Czy pielęgniarkom w ostatnich latach się nie poprawiło?

IB: Trochę wzrosły pensje. Przeciętnie pielęgniarka, pracując na nocie i święta, zarabia 1500–1900 zł na rękę. Politycy będą mówić: 2800–3500 brutto. Jak się chce pokazać, jak te pielęgniarki dobrze zarabiają, to się mówi brutto. Tyle że z brutto się nie żyje. Poza tym kosztem wzrostu pensji nasze koleżanki muszą pracować dużo więcej. Szpital powiatowy, który miał 300 pielęgniarek, w tej chwili ma ich 180. A prowadzi tę samą działalność. Czyli one pracują dwa razy tyle.

AO: A jak to wygląda z punktu widzenia pacjentów?

IB: Pacjent w tym systemie jest zagubiony. Powiem panu, że chociaż

umiem funkcjonować w ochronie zdrowia, to mam kłopot w przypadku mojego taty, który się przewrócił i pękł mu krąg. Mam trudności z ustaleniem mu drogi postępowania: gdzie on ma iść, czy wezwać pogotowie itp. Muszę dopytywać, bo to się tak zmienia, że nie jest się w stanie nad tym panować. A co ma zrobić pacjent, który nie ma córki pielęgniarki czy lekarki? Który nie ma kogoś, kto mu powie, gdzie ma iść, jak się w tym poruszać? To nieprawda, że system jest lepszy dla pacjenta, chociaż stał się trzy razy droższy, przed reformą Buzka kosztował 20 mld, a teraz 64 mld.

AO: Jeszcze jedna kwestia. W ministerstwie opracowuje się projekt decentralizacji ubezpieczeń zdrowotnych. Czy pielęgniarki mają opinię na ten temat?

IB: Centralizacja, decentralizacja, kasy chorych, NFZ itd. to są tematy zastępcze. Z punktu widzenia osoby, która kiedyś pewnie będzie korzystała ze świadczeń ochrony zdrowia, mnie nie interesuje, czy będzie centralizacja czy decentralizacja. Mnie interesuje system ochrony zdrowia, który jasno określa, co przysługuje wszystkim obywatelom z publicznych pieniędzy. Państwo nie jest zobowiązane, żeby tworzyć jakieś instytucje dla prywatnej działalności, tylko ma tworzyć bezpieczny system ochrony zdrowia dla słabszych. Wydaje mi się, że w tej chwili dla tych słabszych, biedniejszych, z mniejszymi dochodami, już nie mówiąc o ludziach starszych, którzy nie wejdą w internet i nie sprawdzą sobie brakujących informacji, to jest system niezycielny.



Ideologia przeciw pacjentom

czyli czego nie pokazuje raport NIK

.....
Katarzyna Sosnowska

Z raportu wylania się obraz idealnej placówki, w której prowadzi się badania sprzedawane następnie na zewnątrz, płaca zatrudnionych osób powiązana jest z osiąganymi przez placówkę przychodami (na które personel nie ma przecież wpływu), a wszystko zgodne jest ze skomplikowanymi procedurami. Tylko że rzeczywistość tak nie wygląda.

Wrześniowy raport NIK o kondycji wybranych instytutów badawczych kontrolowanych przez ministra zdrowia wstrząsnął przez chwilę opinią publiczną. Główne wnioski pokontrolne odnoszą się do zbyt niskiej, według NIK, wartości badań naukowych w instytutach badawczych, sugerują konieczność przeprowadzenia restrukturyzacji finansowej placówek oraz powiązania wynagrodzeń pracowniczych z wynikami finansowymi. Na 40 stronach raportu znajdziemy mnóstwo zestawień liczbowych, odniesień do aktów prawnych, diagramów, przykładów naruszeń procedur. W tym wszystkim jednak ostatecznie umyka sam sens istnienia tych konkretnych instytutów – i systemu ochrony zdrowia.

Finanse über alles

Raport NIK skupia się na słabej kondycji finansowej instytutów. Instytut Psychiatrii i Neurologii, Centrum Zdrowia Dziecka, Instytut Onkologii, Instytut Reumatologii, Instytut Matki i Dziecka oraz Centrum Zdrowia Matki Polki są zadłużone w sumie na 283 mln zł. Podkreśla się także fakt, że od r. 2008 zadłużenie pogłębia się, a „wyniki finansowe” badanych placówek co roku się pogarszają. NIK przestrzega przed dalszą zapaścią, która może doprowadzić do konieczności wydatkowania ogromnych kwot z budżetu na restrukturyzację instytutów. Ministerstwo Zdrowia natychmiast zareagowało na raport i ustami wiceministra Neumanna ogłosiło, że chce ukrócić proceder „dosypywania pieniędzy bez żadnych efektów”. Czyżby efekty leczenia były według niego „żadnymi efektami”?

Dyrektorzy wspomnianych placówek wskazują, że przyczyny zadłużenia niekoniecznie leżą w złej polityce i niekompetencji poszczególnych zarządców. To procedury medyczne opłacane z kiesy NFZ na podstawie zawieranych co roku kontraktów są zbyt nisko wycenione. Jednocześnie do instytutów trafiają przypadki najtrudniejsze, leczenie pacjentów trwa tam długo i wymaga zastosowania drogich terapii. Nie

ma to żadnego odzwierciedlenia w kontraktach zawieranych, a raczej narzucanych przez NFZ.

Celem NFZ jest wydać jak najmniej. W interesie placówki jest otrzymanie pełnej refundacji poniesionych kosztów. Dobro pacjenta wymaga dostępu do odpowiednich terapii w czasie, który pozwoli na szybkie polepszenie stanu zdrowia. Łatwo zauważyć, że interesy poszczególnych stron nie są ze sobą do końca styczne.

Wiedza to pieniądz

Najwyższa Izba Kontroli najwyraźniej zapomniała, że celem istnienia placówek ochrony zdrowia jest leczenie, a nie osiąganie zysków. Dodatkowo instytuty badawcze mają prowadzić badania naukowe. NIK zwraca uwagę na fakt, że kontrolowane instytuty prowadziły niską działalność badawczą i osiągały „niewystarczającą wysokość uzyskiwanych w związku z tych przychodów”. Ów brak „wystarczających” przychodów jest tu niemal jedynym kryterium oceny wielkości działalności naukowej. Jest jeszcze „impact factor”, który NIK także uważa za zbyt niski. W ogóle nie wzięte pod uwagę zostały takie efekty badań klinicznych, jak: udoskonalenie diagnostyki, poprawa skuteczności terapii czy ulga w cierpieniu pacjentów.

NIK wymaga od pracowników naukowych instytutów wyższego wskaźnika cytowań, a nie wspomina ani słowem o konieczności przekazywania wyników badań klinicznych lekarzom ze szpitali powiatowych i ośrodków podstawowej opieki zdrowotnej. W chwili obecnej wiedza o najnowszych metodach diagnostycznych i terapeutycznych jest mniej dostępna. Zwyczajnie lekarze nie są raczej abonentami „Science” czy innych czołowych periodyków medycznych oraz nie potrzebują szczegółowych informacji o prowadzonych zaawansowanych badaniach klinicznych. Natomiast bardzo by im się przydała przystępna wiedza na temat najnowszych trendów i problemów z zakresu ich dziedziny. Wiedza, która pomoże im w codziennym diagnozowaniu i wyborze odpowiedniej terapii. Być może obecnie najczęściej dociera ona do nich poprzez broszury informacyjne producentów farmaceutycznych, co może budzić niepokój. Rolą instytutów badawczych finansowanych przez państwo powinno być raczej przekazywanie efektów badań klinicznych kolegom i koleżankom z mniejszych ośrodków, aniżeli prowadzenie badań komercyjnych.

Wszystko przez pracowników

Jedną ze wskazanych przez raport przyczyn słabej kondycji fi-



foto: Flickr.com by slinky2000

ansowej instytutów jest wzrost zatrudnienia oraz wynagrodzeń, jakie miało miejsce od r. 2008. Nie wspomina się jednak o tym, że w tym okresie trzeba było wprowadzić w życie dyrektywę unijną związaną z czasem pracy lekarzy oraz podnieść płace personełu w wyniku przyjętych przez rząd podwyżek. Poza tym wzrost zatrudnienia może też wynikać z większej liczby łóżek i przyjmowanych pacjentów albo z polityki dążącej do odciążenia dotychczasowych pracowników, co w konsekwencji ma zapewnić lepszą opiekę nad pacjentami.

Raport nie szuka przyczyn tak głęboko, za to jako negatywny przykład przytacza „wymuszony strajkami” wzrost wynagrodzeń o 25% w Centrum Zdrowia Matki Polki w sytuacji pogarszających się wyników finansowych instytutu. We wnioskach pokontrolnych postuluje się także powiązanie wynagrodzeń oraz systemu premiowania z kondycją finansową placówki. Jak słusznie zauważył Ogólnopolski Związek Zawodowy Pielęgniarek i Położnych, obowiązkiem lekarzy i średniego personelu medycznego jest leczenie pacjentów, a nie dbałość o wyniki finansowe pracodawcy.

Jako działanie pożądanego NIK wymienia redukcję zatrudnienia w jednym z instytutów, powiązaną z outsourcingiem usług. W ten sposób pogorszyły się warunki zatrudnienia pracowników kuchni, pralni i personelu sprząającego. Ponieważ dobro pacjentów

zależy także od rzetelnego wykonywania obowiązków przez osoby zatrudnione na tych stanowiskach, scedowanie nadzoru nad nimi na firmę zewnętrzną, wybieraną często według kryterium najniższej ceny, można potraktować jako zagrożenie. Dla NIK jednak niewłaściwe w tym obszarze są tylko nieprawidłowości w przeprowadzonych przetargach lub niezgodność zamówień publicznych z tzw. wolnej stopy z odpowiednimi ustawami.

Ideologia przeciw pacjentom

Z raportu wylania się obraz idealnej placówki, w której prowadzi się badania sprzedawane następnie na zewnątrz, płaca zatrudnionych osób powiązana jest z osiąganymi przez placówkę przychodami (na które personel nie ma przecież wpływu), a wszystko zgodne jest ze skomplikowanymi procedurami. Tylko że rzeczywistość tak nie wygląda. W rzeczywistości do instytutów badawczych trafiają pacjenci wymagający czasowo- i kosztocłonnej terapii, która w dodatku nie zawsze kończy się sukcesem. Pracownicy naukowcy muszą dzielić swój czas między laboratoria a sale pacjentów i, ponieważ jest taka potrzeba, na tych drugich spędzają więcej czasu. W celu zapewnienia najlepszych warunków leczenia instytuty muszą zatrudniać najlepszych specjalistów, także wśród personelu średniego i technicznego, a często też tworzyć dodatkowe etaty (np. laboratoryjne), zapewniające szybkie wdrożenie terapii.

Ale tego nie ma w raporcie NIK. Pewnie dlatego, że jest wyrazem nurtów, jakie do wielu lat dominują w myśleniu o polskiej ochronie zdrowia. Wprowadzona w tym duchu reforma systemu w 1999 r. miała uwolnić szpitale i pacjentów od różnych bolączek. „Wolny rynek” miał być receptą na marnowanie zasobów, korupcję, kiepską dostępność do usług medycznych. Nie doszło jednak do wyleczenia. Raport wspomina np. o pobieraniu nienależnych opłat od pacjentów, o niejasnych kryteriach przyznawania premii pracownikom, o marnowaniu zasobów instytutów.

Tyle że teraz wiemy już, że wolnorynkowy fundamentalizm nic nam tu nie pomoże. Potrzebne jest przededefiniowanie myślenia o ochronie zdrowia w Polsce. Przede wszystkim należy odejść od forsowanego w raporcie NIK założenia, że placówki ochrony zdrowia mają przynosić dochody, a ich działalność ma kierować się rentownością. Najważniejsze jest dobro pacjenta. O to walczą dzisiaj pielęgniarki. One patrzą na ochronę zdrowia przez pryzmat żywego człowieka – pacjenta, a nie przez ideologię zgadzającego się bilansu.

.....
Katarzyna Sosnowska jest tłumaczką, redaktorką, feministką; studiowała filozofię w Warszawie i mediewistykę w Budapeszcie.

Solidarność to więcej niż pomoc



fot. By ReSurge International

W Salonikach na początku listopada otwarto Społeczną Klinikę Solidarności. Z Serafią Kalamitsou, lekarką pediatrą, aktywistką ruchu anarchistycznego, rozmawia Ralf Dreis z niemieckiego pisma „Graswurzelrevolution”.

Ralf Dreis: Czy mogłabyś na początek powiedzieć kilka słów o sytuacji w Grecji i wyjaśnić skąd wziął się pomysł otwarcia Kliniki i jak go realizowaliście?

Serafia Kalamitsou: Skupię się na problemach dotyczących opieki zdrowotnej, bo tym przede wszystkim zajmuje się Klinika, choć sytuacja wymusza na nas odnoszenia się także do szerszych problemów społecznych. Trzeba zaznaczyć, że problemy w ochronie zdrowia zaczęły się na długo przed kryzysem finansowym. Ale od czasu kryzysu sytuacja systematycznie pogarsza się i coraz więcej ludzi nie ma dostępu do ochrony zdrowia, albo są wrogo traktowani, czy wymusza się na nich dodatkowe nieformalne opłaty. Nasza grupa powstała, kiedy zebraliśmy się razem, by pomóc 300 imigrantom, którzy podjęli strajk głodowy, aby uzyskać prawo do legalnego pobytu w Grecji. Pięćdziesiąt strajkujących osób umieszczonych w salonickim Ośrodku Robotników szukało pomocy medycznej. W odpowiedzi kilku lekarzy, pielęgniarek, rehabilitantów, z których wielu to anarchistyczni, lewicowi, wolnościowi aktywiści, założyło w Ośrodku Klinikę Solidarności, aby zapewnić pomoc medyczną strajkującym. Wielu uchodźców od lat mieszkało w Grecji bez legalizacji pobytu, mimo iż składali wymagane dokumenty i wnosili duże opłaty. W końcu jedyne wyjście, jakie im zostało w walce o ich prawa, to podjęcie strajku głodowego. Po strajku i pod wpływem entuzjazmu, jaki przyniosły doświadczenia współpracy, postanowiliśmy powołać Społeczną Klinikę dla Uchodźców w naszym mieście.

RD: Czyli na początku myśleliście tylko o klinice dla uchodźców?

SK: Tak, ale szybko zdecydowaliśmy się przyjmować wszystkich,

migrantów jak i innych ludzi z lokalnych społeczności. Kiedy jeszcze dyskutowaliśmy o tym, jak się zorganizować, ciężka w wydatkach socjalnych narzucane przez Trojkę bardzo mocno dotknęły mieszkańców Grecji. Liczba osób bez ubezpieczenia zdrowotnego rosła w zawrotnym tempie. Obecnie ponad połowa naszych pacjentów to Grecy. Najpierw zwróciliśmy się do władz miasta z prośbą o zgodę na wykorzystanie opuszczonego budynku, ale w odpowiedzi usłyszeliśmy tylko kilka szytych grubymi nićmi wymówek. Próbowaliśmy wynająć pomieszczenia, ale to przekraczało nasze możliwości finansowe. Kilka osób zaproponowało zaskotowanie budynku, ale nie przyjęliśmy tego pomysłu, bo wówczas wielu imigrantów obawiałoby się szukać pomocy w Klinice. W końcu doszliśmy do porozumienia z Ośrodkiem Robotników, który zaoferował nam pomieszczenia na pierwszym piętrze budynku przy ulicy Aisópu 24 i tu pracujemy do dzisiaj. Ośrodek płaci także za prąd, co oznacza, że większość naszych wydatków to koszt leków i materiałów dentystrycznych, na co wydajemy ok. 5000 euro miesięcznie. Dostajemy także materiały opatrunkowe i lekarstwa od osób, które przejrzały domowe apteczki i mogą się nimi podzielić.

RD: Ile osób działa w Klinice Solidarności i jakie planujecie następne kroki?

SK: Na początku podczas strajku głodowego było nas trzydziestoro. Kiedy dyskutowaliśmy o dalszych planach, przyłączyło się do nas więcej ludzi. Obecnie ok. 200 lekarzy, pielęgniarek i innych pracowników medycznych pracuje [pro bono] w Klinice. Oprócz tego są lekarze, którzy chcieliby z nami współpracować, ale nie pozwalają im na to ich godziny pracy, toteż przyjmują od pięciu do dziesięciu pacjentów miesięcznie pro bono w swoich prywatnych klinikach. Klinika Solidarności ma różne oddziały: ogólny, dentystryczny, pediatryczny, fizjoterapię, aptekę społeczną, gdzie ludzie mogą dostać lekarstwa bez opłat. Mamy także personel administracyjny, bez którego Klinika nie mogłaby funkcjonować.

RD: Czy sprawdzacie, czy pacjenci mają ubezpieczenia zdrowotne?

SK: Nie chcemy nadzorować ludzi. Wielokrotnie oświadczyliśmy, iż nie chcemy i nie jesteśmy w stanie ich zastąpić. Nie będziemy zastępować Ministerstwa Zdrowia. Nasza klinika jest dostępna dla wszystkich, którzy zostali wypchnięci z kapitalistycznego systemu, dla każdego, kto był wyrzucony ze szpitala czy przychodni i nie może uzyskać pomocy gdzie indziej. Nie mamy zamiaru istnieć na zawsze. Staramy się natomiast tworzyć polityczne i społeczne warunki równego i powszechnego dostępu do opieki zdrowotnej, aby nikt nie był wykluczony. Możemy zapewnić tylko podstawową opiekę zdrowotną. Jeśli tylko potrzebna jest interwencja chirurga czy badania diagnostyczne, pacjenci muszą udać się do szpitala. Dlaczego niezbędna jest walka o równy i powszechny dostęp do opieki zdrowotnej dla każdego, bez względu na to czy ma ubezpieczenie czy nie.

RD: Czy Społeczna Klinika Solidarności jest otwarta codziennie? Macie duże zapotrzebowanie na pomoc medyczną?

SK: Każdego dnia, z wyjątkiem niedziel. Na początku było tylko kilka oddziałów. Rośnie zapotrzebowanie na badania specjalistyczne. Potrzebujemy lekarzy do pracy na zmiany. Lokal, który mamy, jest za mały. Poza tym nadchodzi zima i więcej ludzi będzie potrzebować pomocy lekarskiej.

Jest wiele różnych klinik społecznych w Grecji. My nazwaliśmy się Społeczną Kliniką Solidarności. Ja osobiście preferuję nazwę Klinika Solidarności, ponieważ lepiej odzwierciedla to, co robimy. Jest więcej klinik takich jak nasza, które są zarządzane przez kolektyw, który je tworzył, a nie przez NGO czy Kościół. Z drugiej strony są także społeczne kliniki stworzone przez organizacje charytatywne, kościoły, stowarzyszenie lekarzy. Są także kliniki powołane w ramach neonazistowskiej propagandy Złotego Świtu pod nazwą „Społeczna Klinika Tylko Dla Greków”. W rzeczywistości jest to tylko propaganda, gdyż

partia neonazistowska nie jest w stanie stworzyć takich instytucji. Jedną z takich klinik miała być otwarta w Xánthi w północnej Grecji, ale jak się okazało, był to tylko jeden faszystowski lekarz wojskowy, który nigdy nie podjął się takiej opieki wobec jakiegokolwiek pacjenta.

RD: 13 września prasa podawała, iż Złoty Świt ogłosił apel o donację greckiej krwi dla Greków.

SK: Tak, rzeczywiście taki apel był ogłoszony. Ale jest to tylko propaganda Złotego Świtu, który chce pokazać, że troszczy się o grecką ludność. Towarzystwo z Aten pisali, iż nie więcej niż 10 do 12 osób zgłaszało się jako krwiodawcy. W etycznym kodeksie medycznym znajduje się zapis, iż krew można tylko darować, nie można jej sprzedawać, a transfuzje są dostępne dla każdego, kto ich potrzebuje. To jest dziwaczne i nienaukowe podejście, aby wzywać do transfuzji greckiej krwi dla Greków czy niemieckiej krwi dla Niemców. Uważam, że to skandal, iż władze państwowe odpowiedzialne na prośbę Złotego Świtu, udostępniając im mobilne stacje krwiodawstwa. W ogłoszonych stanowiskach Konfederacja Lekarzy Szpitalnych i Stowarzyszenie Greckich Lekarzy wyraziły stanowczy sprzeciw wobec rasistowskich apeli o krwiodawstwo.

RD: Wróćmy do twojej grupy i waszych celów jako kliniki solidarności. Macie szersze cele, nie tylko zapewnienie pomocy lekarskiej osobom, które nie mają ubezpieczeń.

SK: Nie zaczęliśmy naszego projektu po to, żeby zbawić nasze dusze przez działalność charytatywną. Od początku mieliśmy na uwadze konkretny projekt polityczny. Naszym głównym celem jest pokazanie, że siatki oparte na solidarnej współpracy mogą skutecznie działać, oraz iż organizowanie się na zasadzie solidarności pomaga przezwyciężyć problemy, jakie się wyłoniły w związku z kryzysem ekonomicznym. Solidarność oznacza więcej niż tylko wyciągnięcie pomocnej ręki. Solidarność będzie mieć wpływ tylko wtedy, gdy zostanie świadomie przyjęta jako wiodąca zasada w życiu naszych pacjentów, ich rodzin, lokalnych społeczności. Dzięki temu stanie się oczywiste, iż siatki solidarności mogą funkcjonować nie tylko w opiece zdrowotnej, ale we wszystkich dziedzinach naszego życia. Ten cel budowania świadomości jest bardzo trudno osiągnąć. Ale jeśli naszym sukcesem byłoby tylko funkcjonowanie Kliniki, to nasza praca poszła na marne. Osiągniemy sukces tylko wówczas, gdy Klinika stanie się częścią ruchu solidarnej samorządności w mieście i w kraju.

RD: W Salonikach jest kilka samoorganizujących się siatek. Czy te grupy koordynują współpracę? Czy publikujecie przygotowane zespołowo teksty i wspólne analizy? Czy organizujecie wspólne wydarzenia i demonstracje razem z innymi grupami, jak np. społeczny ośrodek Mikrópolis czy ze skłotersami z byłej bazy wojskowej na zachodzie miasta, gdzie kolektyw „PerKa” uprawia warzywa? Czy kontaktujecie się z innymi skłotami?

SK: Nie opublikowaliśmy jeszcze wspólnych stanowisk przygotowanych wspólnie z innymi grupami, ale bierzemy udział w ich spotkaniach, a ludzie z innych grup uczestniczą w naszych. Projekt Mikrópolis regularnie, co miesiąc, wspiera nas finansowo. Obecnie próbujemy zbudować wspólną antyrasistowską, anty-faszystowską siatkę z innymi grupami. Jak dotąd formalnie siatka nie powstała, ale jest wiele nieformalnych więzi i współpracy między grupami.

RD: Kiedy dyskutujecie o formach współpracy czy planujecie kampanie, to kto podejmuje ostateczne decyzje?

SK: Społeczna Klinika Solidarności jest kolektywem, a wspólne decyzje podejmujemy na ogólnym zgromadzeniu. Zebrania te są otwarte dla wszystkich. Niestety, nie wszyscy przychodzą i w końcu decyzje podejmuje 40-60 aktywistów i aktywistek. Wiele osób woli pracę niż udział w dyskusjach. Osobiście uważam, że to ważne, żebyśmy wspólnie wypracowywali stanowiska i podejmowali decyzje.

RD: Jak państwo i media odnoszą się do waszego projektu?

SK: Ustawicznie próbujemy artykułować nasze antyrasistowskie stanowisko, upowszechniamy je na ulicy w tłumaczeniach na kilka języków. Jest o nas głośno i wiele osób nas popiera. Jest to jeden z powodów, który nas chroni przed atakami ze strony państwa. Środki masowego przekazu grają w ich własne gry. Nie publikują, rzecz jasna, naszych antykapitalistycznych czy antyrasistowskich stanowisk, ale chcą uwidocznić naszą charytatywną działalność. Toteż jesteśmy bardzo ostrożni w kontaktach z mediami. Obawiamy się, że nie przedstawiają naszej pracy i celów rzetelnie, natomiast pokażą nasz projekt jako subtytuł kościoła czy NGO.

RD: Rozmawialiśmy o faszystowskich bandach Złotego Świtu. Projekt taki jak Klinika Solidarności musi być jednym z pierwszych celów ataków faszystów?

SK: Zawsze jest takie niebezpieczeństwo, zwłaszcza, że dzielnicę, w której pracujemy, zamieszkuje wielu imigrantów, a Złoty Świt ma tu swoje biuro. Bardzo nas niepokoi możliwość ataków na naszych pacjentów, a także na nas samych, kiedy nocą wychodzimy po dyżurach. Na szczęście do tej pory nic złego się nie wydarzyło. A w nawiązaniu do osobistych i nieformalnych kontaktów między grupami, o których wcześniej rozmawialiśmy, to mamy antyfaszystowski łańcuch telefonicznych połączeń alarmowych, gdzie możemy zadzwonić, żeby szybko uzyskać pomoc.

RD: Rozmawialiśmy wcześniej o wydatkach i jak finansujecie waszą działalność. Jak mogą wam pomóc ludzie, którzy chcą dać wyraz solidarności?

SK: (śmiech) Najbardziej oczywista rzecz to pomoc finansowa. Zawsze potrzebujemy pieniędzy, na to, by tak jak wcześniej mówiłam kupić materiał na plomby, protezy, szpionki dla dzieci. Dzieci, które nie mają ubezpieczenia zdrowotnego, nie są objęte programem obowiązkowych szczepień. Aby jednak były przyjęte do szkoły, muszą pokazać zaświadczenie o szczepieniach. Rodzice, którym nie starcza pieniędzy na jedzenie, po prostu nie mają za co kupić szczepionek, które są bardzo drogie. Dodatkowo lekarze, jeśli mają taką możliwość, mogliby nam przysłać konkretne leki. Potrzebujemy też wymiany idei i wsparcia w walkach i mobilizacji antyfaszystowskiej.

Przeł. Ewa Charkiewicz. Wersja skrócona. Cała rozmowa: www.zielone-wiadomosci.pl

Kontakt:
koinwniko.iatreio@gmail.com.
Dotację można przekazywać na konto:
Friends of the Social Clinic of Solidarity
Thessaloniki, Pireos Bank
KTO: 5272-059087-744
IBAN: GR89
01722720005272059087744
BIC:PIRBGAA

HIV-polityka po polsku



fot. Flickr.com by B. as. iT

..... Marcin Rodzinka

W grudniu 2012 r. w Polsce zakażeniu HIV uległo 105 osób, AIDS wykryto u 25, a 3 osoby zmarły. Od momentu wdrożenia badań w naszym kraju zakażonych zostało 16 314 ludzi. Ponad tysiąc osób chorych na AIDS zmarło. Jeśli analizować sytuację pod kątem współczynników zapadalności – Polska nie wygląda źle na tle Europy, jednak są kraje, gdzie dane są lepsze. Z oficjalnych statystyk prowadzonych przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny w Warszawie wynika, że najczęstszą przyczyną nowych zakażeń (ponad 1/3 wszystkich zgłoszonych) jest stosowanie substancji psychoaktywnych w nieprawidłowy sposób. To zjawisko charakterystyczne dla Europy Wschodniej oraz takich państw z Europy Środkowej jak Estonia, Łotwa, Litwa i Polska. Jednak przy znacznej większości nowych zgłoszeń brakuje określonej przyczyny zakażenia, co utrudnia prowadzenie działań zapobiegawczych. Ostatni raport dotyczący kwestii związanych z HIV i AIDS „Seksualność Polaków 2011” nie dodaje otuchy. Zaledwie 9% Polaków i Polek wykonało kiedykolwiek test na HIV. Wiele osób nadal sądzi, że można zakażać się dotykając osobę żyjącą z HIV lub korzystając ze wspólnych toalet. Z innych badań prof. Izdebskiego wynika, że blisko połowa polskiego społeczeństwa przejawia postawy dyskryminujące wobec osób żyjących z HIV i AIDS, a ostatni raport z 2011 r. mówi, że te postawy się nasilają.

Jak na tym tle prezentuje się polska polityka wobec HIV i AIDS? Instytucjami odpowiedzialnymi za kreowanie działań w zakresie przeciwdziałania zakażeniom HIV oraz zachorowaniom na AIDS są Ministerstwo Zdrowia wraz z podległym mu Krajowym Centrum ds. AIDS oraz Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – PZH (w zakresie statystyki epidemiologicznej). Ramy tych działań określa stworzony co kilka lat Krajowy Program Zapobiegania Zakażeniom HIV i Zwalczania AIDS – najnowszy obejmuje lata 2012–2016. Znajdziemy w nim

diagnozę sytuacji epidemiologicznej w kraju, a także stanu profilaktyki oraz opieki nad osobami zakażonymi. Zwraca się uwagę na możliwe zagrożenie wzrostem zakażeń w związku z bliskością państw wschodnich (Federacja Rosyjska, Ukraina). Jak piszą autorzy programu, Polaków i Polki cechuje niska świadomość zagrożenia zakażeniem poprzez nieprzypisywanie ryzyka własnej osobie. Jednak działań w zakresie zmiany tej sytuacji jest niewiele.

Leczenie

W związku ze swoistym „wyżem zakażeń” w przeszłości, obecnie mamy do czynienia ze zwiększonym zapotrzebowaniem na leki ARV (leczenie antyretrowirusowe). Osoby, które uległy zakażeniu wiele lat temu, obecnie wchodzi w fazę pełnoobjawowego AIDS. Pozytywnych skutków stosowania leków ARV jest bardzo wiele. Przyczyniają się one do zmniejszenia zakaźności osób żyjących z HIV, zmniejszają ryzyko gruźlicy, poprawiają jakość życia, a co najważniejsze wydłużają długość życia. Krajowy Program wskazuje na potrzebę rozbudowy polskiej sieci diagnostyki zakażeń, co pozwoli uniknąć wykrywania zakażeń zbyt późno.

Podział środków przeznaczonych na działania w zakresie HIV daje do myślenia. Otóż jedynie 4% wszystkich funduszy przeznaczonych jest na profilaktykę nowych zakażeń, a 96% na leczenie antyretrowirusowe. Polska należy do krajów, które przeznaczają najmniejsze w Unii Europejskiej środki na profilaktykę: ok. 0,05 euro (czyli ok. 20 gr.) na głowę mieszkańca (dane Europejskiego Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób za 2006 r.). Zapewnienie wszystkim potrzebującym leków ARV nie podlega dyskusji, chociażby na mocy zobowiązań podjętych przez Polskę na forum ONZ.

Polska realizuje te zobowiązania, obejmując leczeniem osoby zakażone w ramach programów lekowych finansowanych ministerialnie. Obecnie leczonych jest ponad 5 tys. pacjentów (dane za 2011 r.). Jednak środki przeznaczone na działania w nowym programie są niewystarczające przy obecnych cenach leków oraz wielkości grupy wymagającej terapii. Szansa

są kończące się niedługo patenty farmaceutyczne, które odpowiadały za bardzo wysokie ceny leków, leki generyczne będą tańsze.

Profilaktyka

Jak wygląda profilaktyka? Krajowe Centrum ds. AIDS realizuje działania profilaktyczne na wielu płaszczyznach. Poczynając od kampanii społecznych poprzez finansowanie PKD (Punktów Konsultacyjno-Diagnostycznych) w każdym województwie, organizację szkoleń, a także wydawanie specjalistycznych publikacji.

Przeszkodą dla skutecznej profilaktyki nie są jedynie niskie nakłady finansowe, ale bariera światopoglądowa. Środowiska pozarządowe, które od lat zajmują się tematyką HIV i AIDS, zwracają uwagę na wiele błędów w kreowaniu kampanii społecznych, które mają ogromne znaczenie w budowaniu świadomości Polaków i Polek. Jednym z nich jest bardzo późna decyzja o stworzeniu kampanii skierowanej do grupy MSM (mężczyzn mających seks z mężczyznami). Pierwsze informacje powstały w 2010 r. w ramach kampanii „Prezerwatywa przedłuża przyjemność”. W porównaniu z pomysłami na kampanie w krajach zachodnich, polskie działania są zachowawcze, brak w nich kontrowersji, która jest jednym z warunków przyciągania uwagi.

Redukcja szkód

Jeśli największy udział w nowych zakażeniach HIV mają substancje psychoaktywne, trzeba zbudować taką strategię, która skutecznie odpowie na zdefiniowany problem. W Polsce polityka narkotykowa pozostawia wciąż wiele do życzenia. Wpływa negatywnie na zjawisko zażywania narkotyków w kraju. Głównym zastrzeżeniem wobec działań realizowanych w Polsce jest brak lub znikomy udział programów redukcji szkód.

Idea redukcji szkód jest pragmatycznym i humanistycznym podejściem zmierzającym do ograniczenia indywidualnych i społecznych szkód związanych z używaniem narkotyków. Jej podstawowym ce-

lem jest minimalizacja problemów wynikających z używania narkotyków przy poszanowaniu godności i praw człowieka osób ich używających. International Harm Reduction Association definiuje politykę redukcji szkód jako „strategie i programy, które zmierzają do zredukowania negatywnych zdrowotnych, społecznych i ekonomicznych konsekwencji stosowania substancji zmieniających nastrojów, występujących u indywidualnych użytkowników tych substancji, ich rodzin i ich środowisk”. Założeniem redukcji szkód jest przeświadczenie, że całkowita eliminacja substancji psychoaktywnych z użyciu społecznego jest niemożliwa, dlatego istotniejsze jest oddziaływanie na realne do osiągnięcia cele redukcji szkód zdrowotnych i społecznych.

Justyna Sobeyko wymienia typy programów redukcji szkód: wymianę sprzętu iniekcyjnego, leczenie substytucyjne, czyli zastąpienie narkotyku (szczególnie opioиду) legalną substancją farmakologiczną o podobnym działaniu, która ma doprowadzić do bardziej kontrolowanej formy uzależnienia i zredukować szkody związane z nielegalnym zażywaniem. Kolejnym typem programów redukcji szkód jest przepisywanie heroiny, jako szczególnego typu podejścia substytucyjnego. Przepisywanie heroiny ma chronić przed pozyskiwaniem jej z nielegalnych źródeł, co często jest niebezpieczne, ze względu na jej jakość. Heroina jako substytut nie jest stosowana często. Pomieszczenia konsumpcyjne to kolejny typ programów redukcji szkód. Pokoje iniekcyjne są tworzone po to, aby osoby przyjmujące narkotyki mogły zrobić to w higieniczny i bezpieczny sposób, a tym samym ograniczyć ryzyko zakażeń wirusowych. Niezwykle ważne jest także docieranie do środowisk zażywających narkotyki z informacją oraz edukacją w zakresie możliwych skutków zdrowotnych, zagrożeń oraz możliwości terapii i pomocy w walce z uzależnieniem.

Prawo narkotykowe do zmiany

Pierwsze powojenne prawo narkotykowo-farmaceutyczne z 1951 r.

kryminalizowało jedynie takie zachowanie po stronie konsumenta, jak zażywanie środków odurzających bez zalecenia lekarza przy obecności innej osoby. Przełomem była ustawa z r. 1985, kiedy zrezygnowano z karania konsumentów, decydując się na karanie osób odpowiedzialnych za rozpowszechnianie, nacisk położono wówczas na podejście profilaktyczno-lecznicze. Narkomania traktowana była głównie jako problem zdrowotny. Kolejna ustawa z 1997 r. znacznie rozszerzyła zakres penalizacji przestępstw związanych z produkcją i rozpowszechnianiem narkotyków.

Nowelizacja z r. 2000, która sprawiła, że karalne stało się posiadanie każdej ilości narkotyków, przyniosła katastrofalne skutki. Konsekwencją wprowadzenia karaniami posiadania dowolnie małej ilości zakazanych środków stało się ukierunkowanie działań policji na konsumentów, którzy z definicji stanowią największą grupę posiadaczy. Polskie ustawodawstwo na przestrzeni lat nie ułatwiało prowadzenia programów redukcji szkód. Programy wymiany igieł, których legalność została postawiona pod znakiem zapytania poprzez nowelizację z roku 2000, prowadzone są w Polsce od lat 90. XX w. Jednak ostatnio na mniejszą skalę, co Krajowe Biuro ds. Przeciwdziałania Narkomanii tłumaczy mniejszym zapotrzebowaniem. Leczenie substytucyjne jest w naszym kraju prowadzone w dość niskim zakresie. Grzegorz Wodawski szacuje, że jedynie ok. 4–5% uzależnionych objętych jest leczeniem. W Polsce nie ma pomieszczeń do bezpiecznej iniekcji substancji psychoaktywnych, a także nie przepisuje się heroiny (działanie nielegalne).

Podsumowaniem może być „Wezwanie do podjęcia działań: wspierajmy reformę światowej polityki narkotykowej” z 2009 r., ogłoszone w ramach Międzynarodowego Dnia Solidarności z Osobami Uzależnionymi od Narkotyków. Apel sygnowany przez Open Society Institute oraz wielu ekspertów i ekspertki, a także szereg organizacji międzynarodowych wskazuje na potrzebę natychmiastowej zmiany podejścia do walki z narkotykami, gdyż obecne przyspiesza rozwój epidemii HIV. Powinniśmy jak najszybciej wprowadzić politykę redukcji szkód na większą skalę, której dodatkowym elementem musi być sprawna edukacja seksualna już we wczesnym etapie życia, integrować osoby żyjące z HIV i AIDS ze społeczeństwem, aby zapobiegać krzywdzącym i nieprawdziwym stereotypom, a także zmienić podejście na humanistyczne, powstrzymać się od oceniania osób zażywających narkotyki, szanować ich prawa człowieka.

Polityka wobec HIV i AIDS nie może być walką z ludźmi, a przede wszystkim nie może odbywać się ich kosztem. Obecne podejście prowadzi do wielu szkodliwych zjawisk, takich jak nieprzynoszące pozytywnych skutków karanie osób uzależnionych czy niedostateczne działania państwa w zakresie profilaktyki nowych zakażeń.

Przydatne linki: www.aids.gov.pl, www.narkopolityka.pl, www.ihra.net, www.cd4.pl

.....
Marcin Rodzinka jest specjalistą zdrowia publicznego, studentem Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, członkiem zarządu Instytutu Podkarpackiego.

.....
Ewa Majewska

Historia debat wokół prostytucji jest właściwie tak długa, jak historia walki o prawa kobiet, gdyż ten postrzegany jako „najstarszy zawód świata” typ aktywności od dawna stanowił przedmiot krytyk, współczucia, obelg i prób naprawy.

Wśród feministek również toczą się spory dotyczące tej kwestii. Wiele autorek feministycznych zachowuje się tak, jakby o prostytucji można było decydować ponad głowami zajmujących się nią osób. Inne uważają, że prostytucja to praca jak każda inna. Jeszcze inne próbują niuansować swoje podejście, odwołując się do stanu aktualnego i rzeczywistości po rewolucji. Jeszcze inne rozważają prostytucję jako formę pornografii, tylko bardziej drastyczną. Wiele autorek i działaczek łączy wszystkie te stanowiska, inne z kolei starają się im przeciwstawić, mówiąc z pozycji pracownic przemysłu erotycznego, akcentując potrzebę wyzwolenia seksualności i pokonania wyzysku, ale zachowania prostytucji w jakiejś uwzględniającej potrzeby i godność zajmujących się nią osób formie.

Kim jest prostytutka?

Odpowiedzi na to pytanie jest mniej więcej tyle, co stanowisk w tej kwestii. prostytutka to jedna ze sprzeczności cywilizacji – powie marksistka. prostytutka to ofiara wyzysku – doda. prostytutka to ofiara patriarchy, uzna tak marksistka, jak i feministka radykalna czy liberałka. Trzeba wyzwolić społeczeństwo od prostytucji – powiedzą feministki szwedzkie, ale nie poprzez zakaz prostytucji, tylko karanie klientów. prostytutka to ja – powie prostytutka. Trzeba wyzwolić prostytutkę – powie rząd holenderski, i dokona legalizacji prostytucji jako jednego z zawodów, gdzie płaci się na ubezpieczenie społeczne, odkłada na emeryturę, zaś ilość poduszek w miejscu pracy prostytutki czy długość jej paznokci zostanie starannie określona prawem. Pornografia to teoria, gwałt to praktyka – powie Robin Morgan i wiele innych feministek radykalnych inspirowanych się też marksizmem. Seksualność należy wyzwolić, a wraz z nią prostytucję, ale nie po to, by ją likwidować, ale tak, by nadać jej taką formę, która odpowiada uprawiającym ją kobietom – stwierdzą autorki popularnych książek o prostytucji, które same zajmowały się pracą w przemyśle erotycznym, takie jak Nickie Roberts, autorka wydanej również w Polsce książki *Dziwki w historii*, czy współautorki zebranej przez Jill Nagle antologii *Whores and other feminists („dziwki i inne feministki”)*.

Prostytucja a prawo

Rozpocznę od rozwiązań prawnych, które w jakiś sposób regulują prostytucję, ponieważ w ostatnich latach właśnie one najczęściej pojawiają się w dyskusjach wokół prostytucji. Historycznie najbardziej chyba popularne rozwiązanie tej kwestii polegało na milczącej bądź uregulowanej zgodzie na istnienie prostytucji. Albo pomijano tę kwestię w przepisach, albo pozwalano na jej istnienie, regulując ją odpowiednimi przepisami, jak czyniły w renesansie Gdańsk czy Wenecja.

Jak podaje Nickie Roberts w książce *Dziwki w historii*, niektóre miasta dawały prostytutkom pra-

Prostytucja, feminizm i władza prawa



fot: Flickr.com by emilio labrador

wa i obowiązki analogiczne do cechów, choć, jak podkreśla ta autorka, nigdy nie uczyniono z prostytucji cechu. prostytutki płaciły podatki, finansowały budowy katedr i kościołów, miały też czasem przydzielony fragment murów miejskich do obrony przed najeźdźcą, część miasta do gaszenia pożarów. Nosiły specjalne wstęgi na miejskich paradach, i czasem niektóre reprezentantki tej profesji wspinały się całkiem wysoko w hierarchii faktycznej, bo nie instytucjonalnej, władzy.

Wiek XIX przyniósł wielką regulację prostytucji, w całości negatywną, i – przynajmniej tak twierdzi Roberts – znacznie bardziej drastyczną niż w średniowieczu, gdzie prostytutki owszem, kontrolowano, ale nie zakazywano prostytucji. Ważnym głosem w walce z prostytucją był głos sufrażystek, zwalczających skądinąd handel „białym towarem” momentami ostrzej niż niewolnictwo.

Karanie klientów – przypadek Szwecji

W 1999 r. w Szwecji uznano, że w ramach wyzwolenia kobiet za korzystanie z prostytucji karać należy klientów. Wszystkie kobiety zajmujące się prostytucją zostały w ten sposób automatycznie postawione w roli ofiar (męskiej przemocy, wyzysku itd.), które należy tak samo chronić. Możliwość „wyboru prostytucji” jako zajęcia, zawodu czy pracy została przy tym automatycznie uznana za w jakiś sposób wątpliwą, skoro w każdym przypadku przy takim wyborze należy osoby, które „tak” wybierają, otoczyć ochroną. Rozwiązane to ma oczywiście tę zaletę, że odpowiedzialność za zjawisko prostytucji przerzuca na

mężczyzn. Wydaje mi się jednak, że pomimo retorycznych i kulturowych walorów tego postawienia sprawy, niesie ono ze sobą szereg problemów.

Wśród prostitutek, zwłaszcza w krajach bogatego Zachodu czy bogatej Północy, do których niewątpliwie zalicza się Szwecja, sporo kobiet mogłoby realizować tego typu wybór w sposób gwarantujący im nie tylko niezły dochód, ale również pełne bezpieczeństwo, ochronę, a nawet poczucie spełnienia. Automatyzm uznania „wyboru prostytucji” za wybór zawsze zły sprawia wrażenie rozwiązania złożonego sporu mieczem. Jak podkreślają autorki i działaczki feministyczne, kraje „bogatej Północy” posiadają też dość rozbudowaną sieć handlu ludźmi. W szarej strefie nieudokumentowanej migracji, czarnorynkowego zatrudnienia czy świata przestępczego dość dobrze rozwijają się rozmaite formy wykorzystywania seksualnego, które nie powinny być nazywane prostytucją, tylko przemocą, szantażem czy handlem kobietami.

Karanie klientów sprzyja wzmocnieniu i rozbudowie tych form seksualnego wykorzystywania kobiet, które wskutek prawnego ograniczenia przemysłu erotycznego stają się jego nasyconym przemocą, nielegalnym zastępnikiem. Kobiety, często ludzkie możliwości lepszego życia w Szwecji, przyjeżdżając z byłych republik radzieckich, Polski czy krajów biednego Południa, trafiają do przymusowej prostytucji, która z tą podejmowaną dobrowolnie nie mają nic wspólnego.

Oczywiście, rozwiązanie szwedzkie spełnia, jak skądinąd wiele rozwiązań prawnych w tym

kraju, szereg wymogów moralnie nienaganego, humanitarne-go prawa. Warto się jednak może zastanowić nad tym, jak ten humanitaryzm zakazu odbija się na cudzoziemkach przebywających w Szwecji tudzież na młodzieży i dzieciach w Tajlandii czy innych rajach seks-turystyki.

Legalizacja prostytucji – przypadek Holandii

W Holandii z kolei uznano, że prostytucję można potraktować jako formę zarabiania pieniędzy, na równi z innymi zawodami. prostytutki płacą więc podatki, zbierają na emeryturę i rejestrują działalność gospodarczą jako prostytutki. Wiele z nich korzystnie ocenia możliwość funkcjonowania w społeczeństwie w roli szeregowego pracownika, osoby uznanej przez prawo, mogącej więc liczyć na wsparcie służby zdrowia czy organów ścigania.

Szereg krytyk z kolei dotyczy notorycznych kontroli medycznych i porządkowych, jakim poddawano prostytutki znacznie bardziej ochoczo niż innych przedsiębiorców. Prowadzenie działalności gospodarczej wymusza też odpowiednio wysokie ceny za usługi i skłania wielu klientów do korzystania z prostytucji zorganizowanej na zasadzie handlu ludźmi, wyposażonej w niechciane stręczycielstwo, przemoc i barwny krajobraz innych form brutalności typowych dla szarej strefy. Do tego dochodzi oczywiście problem handlu kobietami, o którym skądinąd od czasu legalizacji prostytucji w Holandii znacznie mniej słychać.

Prawo do uprawiania tego typu przedsiębiorczości mają oczywiście wyłącznie obywatelki Holan-

dii, UE i kilku innych krajów, cała reszta kobiet niespełniających tych kryteriów o możliwości zarejestrowania działalności gospodarczej pod hasłem „prostytucja” może tylko pomarzyć. Choć przepięknie handlu ludźmi nadal ma miejsce również w Holandii, wiele wskazuje na to, że legalizacja prostytucji na równi z innymi zawodami jednak zapewniła znaczne uregulowanie tego procederu z korzystnymi skutkami dla wielu kobiet.

Prostytucja poza patriachatem?

Warto się też zastanowić, co mogą uzyskać kobiety tworzące pornografię feministyczną i lesbijską. Judith Butler wskazuje na to, że dla wielu kobiet rozerotyzowane wizerunki kobiet, mężczyzn, czy jednych i drugich jednak posiadają pewne zalety – pozwalają realizować potrzeby seksualne oraz tworzyć nowe formy seksualnej aktywności, wolne od patriarchalnych form zniewolenia i pruderii.

Warto przypomnieć, że tak stanowisko Butler, jak i innych feministek występujących na rzecz wolności seksualnej, zawiera krytykę pornografii i prostytucji w takich formach, jakie przyjmują one w patriarchacie. Są one jednak przekonane, że kultura to przestrzeń renegotjacji znaczeń, w której tworzenie wizerunków czy praktyki cielesne winny stać się polem nie tyle zakazów, co przede wszystkim rewizji, krytyk i oporu, a także tworzenia alternatyw.

W 1985 r. w Kanadzie odbyła się pierwsza większa konferencja na temat prostytucji organizowana przez bezpośrednio zainteresowane tematem kobiety. Później ich wystąpienia pojawiało się coraz więcej, zaczęto wydawać publikacje przedstawiające zakaz prostytucji i pornografii jako kolejną formę opresji. W 1996 r. wydano książkę *Sex Wars* pod redakcją Lisy Duggan i Nan Hunter, które podsumowują amerykańskie spory i debaty wyraźnie akcentując stanowisko „pro-seksualne” (Lisa Duggan przyjedzie do Warszawy na konferencję o cenzurze w maju 2013 r.).

Niemniej – równolegle debata o prostytucji bez prostitutek trwa. Pojawiają się spotkania na ten temat, w których nie uczestniczą prostytutki, jak sesja zwołana przez feministyczny magazyn „Ms.” w 1994 r. czy narady instytucji takich, jak IOM (Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji), która skądinąd proponuje taką definicję handlu ludźmi, w której najważniejszy nie jest przymus czy przemoc, czasem również seksualna, ale nielegalne przekroczenie granicy. prostytutki nadal oskarża się o rozprzestrzenianie chorób zakaźnych, jak stało się w Finlandii czy dzieje się w Grecji.

W tych publicznych dyskusjach nadal brakuje jednego głosu – samych zainteresowanych oraz jednego stanowiska – krytyki patriarchalnego kapitalizmu z jego nieodłącznym dążeniem do wyzysku i alienacji. Tymczasem wobec prostytucji – jak w ogóle wobec wszelkich kwestii społecznych – przydałoby się trochę politycznej solidarności, zwłaszcza w takiej wersji, jaką proponuje czarna feministka bell hooks – niehierarchicznej, wzajemnej współpracy.

.....
Ewa Majewska jest filozofką i feministką. Autorka i redaktorka kilku książek, m.in. „Feminizm jako filozofia społeczna”.

MATKI MAŁOLATKI

.....
**Małgorzata
Dziewanowska**

Sytuacja prawna dziewcząt przed 18 rokiem życia, które decydują się urodzić dziecko, jest wyjątkowo skomplikowana. Nie tylko odmawia się im prawa do samodecydowania, ale również ponoszenia odpowiedzialności za potomstwo czy korzystania z systemu opieki społecznej. Jednak ustawodawca zdaje się nie zauważać problemu. Albo świadomie go ignoruje.

Matka Polka uregulowana

Przez wieki macierzyństwo definiowane było zawsze w odniesieniu do potrzeb społecznych. Początkowo wystarczały zwyczaj i tradycja, obecnie istnieje potrzeba prawnej regulacji, w niektórych przypadkach tak drobiazgowej, że można odnieść wrażenie, iż ustawodawcy nic tak nie leży na sercu, jak los matek. Kiedy powinna pójść do lekarza, jakie badania wykonać, jakie świadczenia otrzymać, jakie przywileje czerpać – wszystko, aby matkom było łatwiej. Czyżby?

Widoczny jest ciągły wpływ ugruntowanych społecznie wzorców, które przekuwane są na idee prawne, drobiazgowo realizowane przez większość parlamentarną, narzucającą swój punkt widzenia bez pytania o zdanie większości społeczeństwa. Stąd zmiany w prawie rodzinnym pozornie zakazujące surogacji, która przecież mimo wszystko może być realizowana na podstawie umowy stron w przypadku adopcji ze wskazaniem, plany zakazu zapłodnienia in vitro czy odrzucanie raz za razem projektów ustaw dotyczących praw reprodukcyjnych czy związków partnerskich.

Działania fasadowe, jak zmiany w obrębie prawa pracy wydłużające urlopy macierzyńskie czy ograniczające godziny pracy kobiet, nie zamaskują faktu, że wizja macierzyństwa prezentowana przez system prawa i ta występująca w życiu realnym znacznie się różnią. Nikt nie myśli bowiem o tym, iż długotrwała obecność poza rynkiem pracy wpływa na zmniejszenie się kwalifikacji kobiet, co na pewno zauważy pracodawca, a wszelkie dodatkowe przyznane przywileje są największym argumentem za niezatrudnianiem młodych kobiet na umowy o pracę. Pozorne działania na korzyść matek obracają się więc przeciwko nim jeśli chcą one realizować odmienny schemat macierzyństwa. Za te różnice, między prawem a praktyką, cenę płać matki, szczególnie jeśli są małoletnie.

Kiedy dzieci rodzą dzieci

Każdego roku w Polsce przychodzi na świat kilka tysięcy dzieci, których matki nie ukończyły 18 roku życia (w 2000 r. zanotowano 5807 urodzeń żywych u nastolatków do 18 roku życia). Dzieje się tak mimo, a może właśnie dlatego, że ustawodawca uznał zajęcia z edukacji seksualnej za mniej ważne niż lekcje muzyki czy plastyki, wpisując je na listę przedmiotów nieobowiązkowych i uzależniając uczestnictwo dzieci od braku sprzeciwu rodziców. Dzieje się tak również mimo utrzymywania się od prawie 50 lat

przepisów dotyczących podlegania aż do pełnoletniości bezwzględnej władzy rodzicielskiej, która pozwałać powinna na sprawowanie całkowitej kontroli nad zachowaniem dziecka, a także mimo ograniczenia zdolności do czynności prawnej do ukończenia 18 roku życia. Okazuje się, że upilnowanie dzieci, żeby nie uprawiały seksu, jest znacznie trudniejsze, niż wyobrażają sobie twórcy kodeksów.

Skoro jednak istnieją „dziewczynki”, które wyłamały się ze sztywnych ram pojęcia „dziecko”, od wieków utożsamianego z czystością, niewinnością, nieświadomością, to należy znaleźć dla nich inne, odpowiednie określenie, odzwierciedlające stan, w jakim się znalazły. Mogą więc stać się „pokrzywdzonymi”, jeśli mają mniej niż 15 lat, gdyż dopiero od tego wieku ustawodawca zaczyna przyznawać im prawo do wyrażenia zgody na stosunek seksualny. Mogą być nazywane „uczennicami”, gdy rozważana jest możliwość indywidualnego toku nauczania. Pozostają „dziećmi”, gdy ich rodzice lub opiekunowie przejmują prawo do nowo narodzonego dziecka. Zgodnie z prawem nie mają szans na uzyskanie statusu pełnoprawnej pacjentki w trakcie ciąży, czy matki po porodzie. Przystają być modelowymi dziećmi, jednak nie otrzymują szansy na stanie się modelowymi matkami.

W polskim prawie charakterystyczne jest traktowanie macierzyństwa jako okresu następującego po osiągnięciu przez jednostkę dojrzałości zarówno fizycznej, psychicznej, jak i prawnej. Wszelkie odstępstwa od tej preferowanej formy są kontrowersyjne, prawnie zakazywane lub moralnie potępiane, co wpływa również na publiczny wizerunek „tych innych” matek. Niezmiennie zadziwia protekcyjność, prawdopodobnie podsyty również ignorancją, z jakim politycy traktują małoletnie matki, a także brak rozpoznania ich indywidualnych potrzeb.

Przychodzi dziewczyna do lekarza, a lekarz...

Mimo przyjęcia założenia, iż w wieku 15 lat każdy ma prawo do samodzielnego decydowania o swoim życiu seksualnym (art. 200 kodeksu karnego), ustawodawca nie uznał za konieczne wyposażyć młodych ludzi w narzędzia służące ochronie własnej seksualności. Jeszcze przez rok bowiem nie będą mieli dostępu do pełnej, rzetelnej informacji na temat swojego stanu zdrowia (art. 31 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentystry), w tym również przykładowo odnośnie nosicielstwa wirusa HIV, a do 18 roku życia nie będą mogli samodzielnie wyrażać zgody na żadne świadczenia medyczne (art. 32). Dotyczy to również porad, jak się zabezpieczać przed ciążą czy chorobami przenoszonymi drogą płciową.

Przekazując te uprawnienia w ręce opiekunów, ustawodawca kieruje się skostniałą wizją patriarchalnej rodziny, w której każdy aspekt życia młodego człowieka podlega ścisłej kontroli jego właścicieli, czyli rodziców. W tym wyidealizowanym układzie rodzic każe – dziecko słucha. Co więcej, rodzic uświadamia w dogodnym mo-

mentem, a dziecko do tego czasu pozostaje nieświadome. Rodzic ma czas rozmawiać – dziecko szanuje jego zdanie. No i oczywiście nie ma żadnego internetu.

Istnieją w prawie możliwości naprawienia, chociażby częściowo, niekorzystnej sytuacji małoletniej matki. Jeśli zaszła ona w ciążę i jednocześnie ukończyła 16 rok życia, może samodzielnie wystąpić do sądu rodzinnego w celu uzyskania zgody na wcześniejsze zawarcie związku małżeńskiego. Tutaj już władza rodzicielska nic zrobić nie może – ani zabronić, ani wyręczyć.

Oczywiście dziewczyna musi mieć pełnoletniego kandydata na męża, na dodatek gotowego przejść na siebie dotychczasowe uprawnienia jej rodziców, gdyż uzyskanie wcześniejszej pełnoletniości w chwili zawarcia małżeństwa faktycznie stanowi jedynie fikcję prawną. Gdy brak kandydata lub brak woli po jednej ze stron – nie pozostaje nic więcej, jak tylko poddać się władzy rodziców. Samodzielnie nie można ani zażądać przeprowadzenia obowiązkowych badań, ani wypisać siebie i dziecko ze szpitala po porodzie czy odebrać przysługujące beczkowe.

Między rodzicielstwem a dzieciństwem

Zawieszenie małoletniej matki między okresem dzieciństwa, który skończył się w momencie utraty niewinności, a dorosłością, którą symbolizuje możliwość prawnej decydowania o sobie, jest ciągle politycznie marginalizowane. Ustawodawca zdaje się nie zauważać, iż materia, którą nieustannie poddaje drobiazgowej regulacji, wykracza poza założone ramy. Rozwiązaniem natomiast nie są dłuższe urlopy macierzyńskie czy dodatkowe zapomogi, ale przekonstruowanie modelu macierzyństwa, oderwanie się od skostniałych wzorców i reagowanie na faktyczne potrzeby społeczeństwa. W przypadku małoletnich matek niezbędne jest więc wprowadzenie zmian w zakresie prawa medycznego, prawa rodzinnego, a także przededefiniowanie takich pojęć jak dziecko czy dzieciństwo i nadanie im bardziej naukowych, a mniej stereotypowych ram.

Od lat prof. Izdebski wskazuje w swoich badaniach, iż wiek inicjacji seksualnej systematycznie ulega obniżeniu. Od lat postuluje się konieczność edukowania młodzieży jako najlepszej formy przeciwdziałania wczesnemu macierzyństwu. Od zawsze kobiety poniżej 18 roku życia rodzą dzieci. Pozostaje jednak otwarte pytanie, kiedy ustawodawcy uda się poskładać wszystkie elementy układanki w całość i zobaczyć to, co widzi już znaczna część polskiego społeczeństwa: że prawo nie kreuje rzeczywistości, ale powinno stanowić odpowiedź na potrzeby wynikające z codziennej ludzkiej egzystencji.

.....
Małgorzata Dziewanowska jest doktorantką na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego w Zakładzie Kryminologii. Związana z działalnością różnych organizacji pozarządowych w zakresie ochrony praw kobiet, praw pacjentów i uprawnień osób małoletnich.

RÓWNOŚĆ NIE ZNA BARIER



Na Paraolimpiadzie w Londynie polscy sportowcy zdobyli łącznie 36 medali, w tym 14 złotych. O sukcesach i problemach polskiego sportu osób niepełnosprawnych mówi Marcin Ryszka ze stowarzyszenia „Nie Widzę Przeszkód”.

Zielone Wiadomości: Na ostatniej Paraolimpiadzie w Londynie polscy sportowcy niepełnosprawni osiągnęli niebywałe sukcesy. Skąd biorą się te sukcesy?

Marcin Ryszka: Ważne jest kilka przyczyn. W Polsce coraz częściej mówi się o sporcie osób niepełnosprawnych. Powstaje również coraz więcej klubów, stowarzyszeń, które popularyzują aktywność ruchową wśród ludzi z problemami zdrowotnymi. I to właśnie dzięki temu Polska odniosła taki sukces.

ZW: Pomimo sukcesów polscy sportowcy zgodnie twierdzą, że w polskim sporcie osób niepełnosprawnych nie dzieje się dobrze. Jakie bariery napotyka działalność sportowa osób niepełnosprawnych?



MR: Pierwsza sprawa: z pewnością finansowanie sportu nie jest takie, jak być powinno. Zawodnicy na początku roku nie znają kalendarza imprez, nie wiedzą, kiedy odbędą się zgrupowania. Nie ma organizacyjnego porządku. Druga sprawa to fakt, że o zmaganiach osób niepełnosprawnych nie mówi się zbyt wiele w mediach. W internecie ukazuje się coraz więcej informacji, ale na pewno jest ich zbyt mało w publicznej TV. Gdyby o tym sporcie byłoby głośno, to z pewnością osoby niepełnosprawne, które siedzą w domu i nic nie robią same, rozpoczęłyby uprawiać sport i odbiłyby się to korzystnie na wynikach osiągniętych przez sportowców na arenach międzynarodowych.

ZW: W jaki sposób państwo może wspierać rozwój i działalność środowisk osób niepełnosprawnych w Polsce?

MR: Myślę, że odpowiednie finansowanie, integracja z zawod-

nikami pełnosprawnymi, równe traktowanie wyników pełno- i niepełnosprawnych, pokazywanie zmagani sportowców niepełnosprawnych w ogólnodostępnych środkach przekazu medialnego, przystosowywanie obiektów sportowych tak, aby osoby niepełnosprawne również mogły korzystać z dobrych warunków do treningu. To wszystko z pewnością pomoże w osiąganiu jeszcze większych sukcesów.

Stowarzyszenie „Nie Widzę Przeszkód” stworzyła grupa znajomych, których łączy chęć przełamywania własnych barier. Członkami Stowarzyszenia są zarówno ludzie pełno- jak i niepełnosprawni. We wspólnej pracy i w dążeniu do realizacji marzeń wszyscy jesteśmy równi. Jedyne problemy jakie ich spotykają, to bariery fizyczne – i właśnie z tymi problemami próbują się zmierzyć.

Choć „Nie Widzę Przeszkód” niedawno obchodziło dopiero swoje drugie urodziny, to może się już pochwalić wieloma projektami. Jednym z nich była prowadzona

relacja z Igrzysk Paraolimpijskich w Londynie w 2012 r. Na stronie Stowarzyszenia codziennie ukazywały się newsy z londyńskich aren zmagani sportowców niepełnosprawnych.

W kwietniu członkowie Stowarzyszenia wezmą udział w projekcie „Amazigh – Wolni Ludzie”. Jest to wyprawa rowerowa do Maroka, w której udział wezmą osoby pełno- i niepełnosprawne wzrokowo. „Taki wyjazd to doskonała integracja, bo ludzie w trudnych chwilach najbardziej się wspierają. Podczas tego wyjazdu na pewno nie raz dojdzie do sytuacji, że to osoby niepełnosprawne będą musieć pomagać swoim pełnosprawnym przyjaciółom” – mówi Jerzy Płonka, prezes Stowarzyszenia „Nie Widzę Przeszkód”.

.....
Informacje na temat Stowarzyszenia „Nie Widzę Przeszkód” można znaleźć na stronie internetowej:

www.niewidzепrzeszkod.pl.

Zielono-piracki sojusz dla Europy

.....
Michel Bauwens

Czy w Europie powstanie nowa progresywna większość, złożona z Piratów, Zielonych, ruchów pracowniczych i partii socjalliberalnych?

Nowe ruchy społeczne zawsze powstają najpierw jako nowa subkultura, do której przyłączają się ludzie wymyślający nowe społeczne praktyki. Społeczności Szwedów dzielących się plikami muzycznymi w internecie, z których wykielkowała Piratpartiet, składały się ze zwykłych miłośników muzyki, chcących dzielić się nagraniami.

Następnie społeczności te odkryły, że ich działalność jest w gruncie rzeczy nielegalna. Feudalne aspekty przywiązane do własności intelektualnej nie pozwalają bowiem użytkownikowi na suwerenne korzystanie z zakupionego materiału, w imię ochrony dochodów globalnych korporacji sektora rozrywkowego zakazując dzielenia się nim.

Początkowo takie społeczności nie atakowały bezpośrednio systemu, który ograniczał ich wolność dzielenia się. Rozpoczęły tworzenie własnej infrastruktury, w rodzaju nowych licencji – Creative Commons oraz innych opartych na zasadzie Copyleft, które legalizowały ich prawo do dzielenia się – a także opracowały całą infrastrukturę techniczną opartą na rozproszonym dzieleniu plików, z których najsłynniejszą była Pirate Bay.

Jednakże nieuchronnie nadchodzi trzeci moment w ewolucji nowego ruchu społecznego i nowej kultury. To moment, gdy ruch odkrywa, że musi mieć władzę polityczną, aby zapewnić sobie przetrwanie i rozwój. Nie wystarczy tworzyć nowe instytucje na marginesach społeczeństwa. Konieczne jest wprowadzenie bardziej skutecznych mechanizmów obronnych przeciw nieustannym atakom dominujących sił.

Gracz nr 1: Partie Piratów

Na gruncie tak rozwiniętej świadomości dzielenia się plikami zrodziła się szwedzka Piratpartiet pod przywództwem Ricka Falkvinge'a. To pierwsza partia, która wyraziła konieczność obrony i poszerzenia domeny informacyjnych dóbr wspólnych, świadoma, że aby to zrealizować, potrzebna jest zmiana rzeczywistości instytucjonalnej i struktur władzy. Pierwszy sukces Piratów w Szwecji przygotował grunt pod kolejny w wyborach samorządowych w Berlinie. W obu przypadkach Partia Piratów otrzymała większość głosów wśród młodzieży, a więc te zwycięstwa zapowiadają szerszą rewolucję społeczną, której napędem młodzi ludzie, ukształtowani przez uczestnictwo w wymianie peer-to-peer (P2P).

W Niemczech partia pod przywództwem takich ludzi jak Andreas Baum przyjęła jednoznacznie progresywny program i w kwestii dóbr wspólnych przeszła od dóbr cyfrowych ku dobrom materialnym, proponując wprowadzenie powszechnego darmowego transportu publicznego i powszechnego dochodu podstawowego, który miałby przeobrazić pracę z towaru w dobro wspólne. Sondaż wyborczy przewidywał, że poparcie dla Partii Piratów oscyluje wokół 12%, dzięki czemu ich triumf w niemieckich wyborach ogólnokrajowych jest prawie pewny. [Pisane w 2012 r., obecnie Piratenpartei zdobywa w sondażach ok. 3% – przyp. red.]

Trudno przecenić doniosłość tego zjawiska. Jeśli Piraci będą niezbędni do utworzenia koalicyjnego gabinetu, co jest dość prawdopodobne, Niemcy odejdą od narzucania dalszych restrykcyjnego rozumienia własności intelektualnej na żądanie amerykańskich korporacji, i mogą również rozpocząć rozmontowywanie już istniejących restrykcji. Skoro tak silny gracz jak Niemcy wycofa się z gry, a kraje Europy Wschodniej już oponują przeciwko dalszym restrykcjom, oznacza to wycofanie poparcia Unii Europejskiej dla tego typu działań. Mówiąc



foto: Flickr.com by practicalowl

inaczej, sukces niemieckiej Partii Piratów mógłby okazać się globalnym zwycięstwem sił optujących za swobodnym dostępem do cyfrowych dóbr wspólnych.

Gracz nr 2: Zieloni

Ale to nie koniec tej historii. Nasza cywilizacja w gruncie rzeczy cierpi nie tylko z powodu sztucznej rzadkości i zamykania dostępu do dzielenia się kulturą i nauką, lecz również z powodu braku uznania, że istnieją materialne dobra wspólne, od których zależy ludzkie życie. Jak pisałem w innym miejscu, nasze społeczeństwa cierpią, gdyż są oparte na „pozornej obfitości”, fałszywym przekonaniu, że natura może być w nieskończoność eksploatowana, bez uwzględnienia jej zdolności do regeneracji. Kim są naturalni obrońcy tych ekologicznych i naturalnych dóbr wspólnych? Partie Zielonych, które także zaznaczają swoją obecność na politycznej scenie Europy – ale głównie w Niemczech.

Wyraźne nakierowanie na dobra wspólne w Partiach Zielonych nadal jest słabe. W dużej mierze ciągle szukają one rozwiązania w instytucjach państwowych (jak podatek węglowy) lub mechanizmach rynkowych (handel emisjami). Niemniej to Zieloni bronią integralno-

ści naturalnych dóbr wspólnych i dzięki działaniom takich think tanków jak Fundacja im. Heinricha Bölla, powoli lecz zdecydowanie przesuwają się w stronę podejścia wyraźniej nastawionego na dobra wspólne. W ostatnim czasie europejscy Zieloni zorganizowali na ten temat niezwykle udaną konferencję.

Uważam, że czyni to z nich naturalnego sojusznika Piratów, chociaż niemieccy Zieloni uciekli z powodu ucieczki głosów młodych wyborców ku Partii Piratów. Oba ugrupowania są socjologicznie komplementarne. Zieloni to partia starszych pracowników umysłowych, relatywnie zamożnych profesjonalistów, podczas gdy Piraci przyciągają młodzieżowy prekariat, który stanowi obecnie większość nowych szeregów pracowników umysłowych.

Gracz nr 3: Ruchy pracownicze i na rzecz sprawiedliwości społecznej

Koalicja obrońców intelektualnych dóbr wspólnych i obrońców naturalnych dóbr wspólnych miała by ogromny sens. Pod warunkiem jednak, że została by poszerzona o trzecią wielką kwestię obecnego system politycznego i społecznego: problem nierówności społecznych. Dlatego koalicja broniąca dóbr wspólnych w naturalny sposób włączyłaby także te partie, które domagają się sprawiedliwości społecznej i są historycznie powiązane z tradycyjnymi ruchami pracowniczymi. Istnieje tutaj wybór między sojuszem z socjaldemokracją, która dawno porzuciła wszelkie próby stworzenia transformacyjnej alternatywy, ale w dalszym ciągu może zawierać dość postępowe faksje, a sojuszem z nowymi partiami radykalnej lewicy, które także mają dość silne zaplecze w wielu krajach europejskich. Na przykład w Niemczech działa Die Linke, we Francji silną postacią jest Jean-Luc Mélenchon, a w Holandii najbardziej popularnym politykiem jest przywódca Partii Socjalistycznej.

W istocie partie te są reprezentantkami trzeciego rodzaju dóbr wspólnych, których potrzebujemy. Poza dobrami intelektualnymi, które tworzymy jako ludzkość, oraz dobrami materialnymi, które dziedziczymy i które musimy chronić dla przyszłych pokoleń, istnieje jeszcze trzeci rodzaj dóbr materialnych – te, które sami wytwarzamy: chodzi o nasze zdolności produkcyjne. Były one od zawsze przedmiotem troski partii i ruchów występujących w obronie praw pracowniczych, które są przedstawicielkami popu-

lacji najbardziej aktywnej w obszarze produkcji materialnej. I z tego powodu socjologicznie uzupełniają bazę społeczną Piratów i Zielonych. Zarówno w obrębie polityki, jak i gospodarki istnieje istotny ruch, który może przesunąć te partie na pozycje bardziej przyjazne dobrom wspólnym. Faktycznie ruszenie poparcie dla lewicujących ruchów zajmujących się kwestią dóbr wspólnych. Ruch Occupy na przykład zorganizował forum Occupy Commons, a Światowe Forum Społeczne uczyniło z kwestii dóbr wspólnych centralny punkt swojego stanowiska wobec konferencji Rio+20. Ponad 40 organizacji europejskich spotkało się w Rzymie w lutym 2012 r., aby przedyskutować sposoby kreowania polityki zorientowanej na dobra wspólne.

Gracz nr 4: partie socjalliberalne

Sojusz między Piratami, Zielonymi i ruchami pracowniczymi ma sens, gdyż opiera się nie tylko na politycznym uzupełnianiu się tematów (każdy z tych ruchów ma swoje priorytety dotyczące jednego z rodzajów dóbr wspólnych), ale także ma sens socjologiczny, bo każdy z tych ruchów reprezentuje odmienną grupę pracującej ludności.

Ostatnim składnikiem takiej koalicji mogą być postępowe siły liberalne, tzn. partie socjalliberalne. Np. w Danii minister kultury Uffe Elbaek jest znany ze swojego przyjaznego podejścia do kwestii dóbr wspólnych. Partie tego typu mogą stanowić łącznik z progresywnymi i społecznie postępowymi przedsiębiorcami, którzy często tworzą swoje firmy wokół dzielenia innowacyjnych dóbr wspólnych. Z socjologicznego punktu widzenia partie te reprezentują nowe klasy średnie, które tworzą korporacje wykorzystujące cyfrowe innowacje i biorące udział w powstającej gospodarce opartej na współpracy.

W ten sposób wokół wolnej kultury, poszanowania natury, sprawiedliwości społecznej oraz wolnej etycznej przedsiębiorczości może powstać nowa polityczna większość na rzecz zmiany społecznej.

Artykuł „A German Pirate Party could bring a European coalition” ukazał się na stronie Al Jazeera 19.04.2012. Przekł. Katarzyna Sosnowska.

.....
Michel Bauwens jest belgijskim wykładowcą akademickim, teoretykiem i aktywistą peer-to-peer, jednym z założycieli P2P Foundation. Twitter: @MBauwens.

Zielona-Europa.pl

W tej książeczce zebraliśmy pisane z zielonej perspektywy teksty, proponujące odważniejszą wizję polityki europejskiej. Powstawały zwykle na gorąco, jako komentarz do bieżących zdarzeń, jednak zawarte w nich diagnozy pozostają aktualne.

Nie ma powrotu do epoki państw narodowych, ale budowanie Europy tak, jakby ludzie i ich potrzeby nic nie znaczyły, to również droga donikąd. Autorzy i autorki nie zawsze mówią tu jednym głosem – potrzebujemy dziś śmiałych prób rozpoznania terenu, a nie ostatecznych konkluzji. Chcemy tą książeczką ożywić spór i dyskusję. Zapraszamy do rozmowy zwłaszcza tych i te, którym tak jak i nam zależy na budowie europejskiego domu, ale wyobrażają go sobie inaczej od nas.

Zielona, alterfederalistyczna perspektywa jest radykalna, a zarazem bardzo rozsądna. Kryzysy, z którymi mamy do czynienia, chcemy rozwiązywać wraz z obywatelkami i obywatelami oraz ruchami społecznymi. W sytuacji, gdy polityka europejskich gabinetów coraz bardziej odrywa się od rzeczywistości, to właśnie ruchy społeczne (m.in. takie jak Oburzeni) mogą wskazywać drogę wyjścia. Możemy pójść tą drogą. Europa może być piękna. Może dać przykład reszcie świata, jak budować trwałe rozwój bez kryzysów. A Polska może mieć w tym swój udział. Dzisiaj wszystko zależy od nas.

Ze wstępu A. Grzybek i R. Gawlika

GRA O EUROPE



Więć, nie taka tradycyjna!

.....
Sylvia Urbańska

Pewnego dnia Lew Tolstoj przeczytał intrygującą notatkę prasową, która dała impuls do napisania „Anny Kareniny” – przez wielu okrzykniętej ważną powieścią feministyczną. Podano w niej liczbę rozwodów, które orzeczono w Rosji w przeciągu 1872 r. Tylko osiem rozwodów na całą Rosję podjętych było z woli obojga małżonków, bo pozostałe 762 małżeństwa ustały z powodu trwałego zaginięcia jednej z osób. Tolstoj wiedział doskonale, że kilka rozwodów rocznie przypadających na 70-milionowy naród nie jest efektem szczęśliwego małżeńskiego pożycia. Jako pacyfista, a więc krytyk bezkompromisowej władzy kościelnej i państwowej, zdawał sobie sprawę, iż to raczej nieludzki system prawny wraz z biedą skazującą małżonków na dożywocie w jednym stadle. Nawet wówczas, gdy łączy ich tylko przemoc.

Choć od tamtego czasu minęło aż 150 lat, w czasie których powstało i zdażyło się rozpaść dziesiątki nie-trzeźwych iluzji na temat rodziny, lektura współczesnych odniesień do statystyk rozwodowych może nas zdziwić równie mocno, jak kiedyś

dziwiły Tolstoja. Jedną z danych, ochoczo przywoływanych przez obrońców konserwatywnej wizji rodziny, jest liczba rozwodów na wsi. Dowiadujemy się, że w ostatniej dekadzie zatwierdzono ich ok. 17% w stosunku do ogółu tego typu przypadków w Polsce (GUS). Nie-wielka liczba orzeczeń w porównaniu do 83% rozwodów w miastach sprawia, że wieś postrzegana jest jako arka, gdzie ocalały tradycyjne katolickie wartości rodzinne. Tym samym utożsamiana jest gładko z elektoratem prawicowych ugrupowań, którego rzekome potrzeby artykułują posłowie. Ale czy 17% rozwodów jest aby na pewno dowodem na to, że na wsi kwitnie szczęśliwe życie małżeńskie? Jeśli przyjrzymy się dokładnie tej „ostoji rodzinnej szczęśliwości” – której trwałości tak łatwo miała zagrozić ratyfikacja przez Polskę konwencji o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej – to widać, że „ostoja” ta jest tylko populistyczną fantazją.

Pogłębione studia pokazują raczej, że mieszkańcy wsi, zwłaszcza kobiety, nie tyle wybierają, co często-kroć muszą adaptować się na różne sposoby do sytuacji bez wyjścia. A o taką nietrudno, zwłaszcza kiedy chroniczne bezrobocie lub niskie



foto: Flickr.com by joterhals

plące, duża liczba dzieci i rosnąca spirala długu koegzystują z tradycyjnymi wizjami ról społecznych kobiet i mężczyzn. To generuje podlaną alkoholem przemoc psychologiczną, fizyczną czy seksualną. Także przemoc ekonomiczną, jak choćby eksploatację żony pracującej na zewnątrz i w domu.

Sytuację zamknięcia widać zwłaszcza w deklarowanych przez kobiety statystykach przyczyn rozwodów na wsi. Podczas gdy w mieście wśród przyczyn wymieniane są różnorodne czynniki, wiejskie żony, jeśli odchodzą, to tylko w skrajnych sytuacjach. Gdy mąż pije i znęca się nad rodziną (GUS). Rzekoma „ostoja” tradycyjnych wartości przypomina raczej instytucję totalną, do której podobnie jak w Tolstojowej Rosji ludzie adaptują się na różne sposoby. Korzystając z typologii Ervinga Goffmana, który obserwował życie w instytucjach zamkniętych, można zauważyć, iż ci, którzy nie wiedzą, że można funkcjonować inaczej, przystosowują się poprzez zadowolenie nawet wówczas,

kiedy cierpią i doświadczają przemocy. Inni chłodno kalkulują lub trwają w sposób automatyczny, czemu towarzyszy apatia lub depresja. Zdarzają się również tacy, którzy przechodzą konwersję i stają się zagorzałymi poplecznikami tradycyjnej rodziny.

Ale najwięcej o wiejskim obliczu tradycji mówi nam strategia buntu. Bowiern dzięki dostępności migracji po 1989 r., która daje szansę ucieczki z adaptacyjnej apatii, wieś od dwóch dekad intensywnie się zmienia. Nagły dostęp do bezpieczeństwa ekonomicznego i stopniowo do większej gamy praw powoduje, że wieś ochoczo z nich korzysta. Polki ze starszego pokolenia, które pracują za granicą, dostrzegają w migracji możliwość separacji czy rozwodu. Poza tym wcale nie myślą źle o formalnych związkach partnerskich, a wręcz polegają tylko na nich, jeśli po rozwodzie zdecydują się żyć ponownie z mężczyzną. Bo do „sielanki” małżeństwa już nie chcą wracać. Korzystają również z wielu form partnerstwa, które

przypisywane są – niesłusznie – tylko wielkowiejskiej klasie średniej. Przeciętny Duńczyk zdziwiłby się pewnie, gdyby dotarło do niego, że w Polsce nie ma formalnych związków partnerskich. Bowiern, gdy tutaj mówimy „żyć na kocią łapę”, w Danii mówi się „żyć po polsku”. To popularne powiedzenie wzięło się z obserwacji swobodnych obyczajów Polek i Polaków, którzy pracują tam od ponad wieku.

Wiejska społeczność wcale nie jest taka tradycyjna i homogeniczna, jakby sobie tego życzyli populiści. I jak widać nie chodzi tu o różnorodność wprowadzaną przez miejskich rezydentów, którzy coraz szerszym strumieniem ściągają na wieś. Zarówno starsze, jak i młodsze pokolenia indywidualizują się wcale nie za sprawą „cywilizacji Zachodu”, „cywilizacji śmierci”, jak twierdzą politycy i biskupi. Najbardziej mobilizująco działa tu raczej spojrzenie wstecz. Odśrodkowo działają owe tradycyjne wartości, które utrzymywały się poprzez zamknięcie możliwości godnego życia i możliwości wyboru, stygmatyzującą kategoryzację ludzi i obojętność na przemoc.

Konwencja o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej miała być „koniem trojańskim”, rozsadzającym od wewnątrz tradycyjną rodzinę, wartości katolickie i wąsko rozumianą polskość. Jak ma im jednak zagrażać, jeśli to właśnie od nich od dawna już uciekają rzekomi emisariusze tradycjonalności?

.....
Sylvia Urbańska – adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Wszyscy tracimy przez tę wojnę

O skutkach Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii i planach ruchu Wolne Konopie mówi Andrzej Dołęcki w rozmowie z Piotrem Kozakiem.

Piotr Kozak: Jak wygląda bilans ostatniej dekady od czasu wejścia w życie Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii?

Andrzej Dołęcki: W komentarzu do ustawy posłowie wszystkich partii wypowiadali się, że celem nie ma być walka ze środowiskiem użytkowników narkotyków, ale ze środowiskiem producentów i handlarzy narkotykami. Po dziesięciu latach, a właściwie to już wcześniej, bo po roku-dwóch, było widać jednoznacznie, że liczba skazanych użytkowników narkotyków wzrosła o ponad 1000%, a liczba osób skazanych za handel wzrosła o kilka procent. Mój bilans działania ustawy jest więc taki, że jest to nieskuteczne narzędzie. Od ponad dziesięciu lat zmierzamy donikąd.

PK: Czyli ustawa uderza w użytkowników narkotyków, a nie w handlarzy i producentów.

AD: Od wielu lat przeznaczamy niewspółmiernie wysokie środki na resorty siłowe – policję i prokuraturę – a nie na terapię osób uzależnionych i przeciwdziałanie narkomanii. Na karanie i ściganie użytkowników narkotyków wydajemy czterokrotnie więcej niż na profilaktykę i terapię.

PK: Czy ustawa, zgodnie z jej intencją, doprowadziła do spadku osób uzależnionych od narkotyków?

AD: Ustawa jest przede wszystkim represyjna i nie przeciwdziałała

narkomanii. Jeszcze nikt w więzieniu, gdzie o narkotyki łatwiej niż na wolności, z narkomanii się nie wyleczył.

PK: Od roku obowiązuje zliberalizowana wersja ustawy, która wprowadziła możliwość odstąpienia od postępowania prokuratorskiego. Czy liberalizacja cokolwiek zmieniła?

AD: Już wcześniej obowiązywał podobny zapis w Kodeksie postępowania karnego, który umożliwiał odstąpienie od działań prokuratorskich i sądowych ze względów na znikomą szkodliwość społeczną. W nowej wersji Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii wprowadzono zapis, że prokurator może odstąpić od postępowania, jeżeli ilość posiadanych narkotyków jest przeznaczona na własny użytek oraz ze względu na niską szkodliwość czynu. Czyli de facto to samo. Problem jest taki, że dopuszczalna ilość narkotyków na własny użytek nie została określona i przez to prokuratury w niewielkim stopniu stosują ten zapis.

PK: Z czego to może wynikać?

AD: Częściowo z niewiedzy. Po części z obawy, że zostaną posądzeni o sprzyjanie użytkownikom. Wyraźnie widać to na przykładzie sprawy Kory. Mimo że ilość posiadanych przez nią narkotyków kwalifikowała się wyłącznie do bycia „przeznaczonymi na własny użytek”, to prokuratura, by uniknąć zarzutu o stronniczość, doszukiwała się dziury w całym. Gdybyśmy, tak jak w innych krajach, ustalili wartości graniczne dopuszczalnej ilości posiadanych narkotyków, to



foto: Flickr.com by Krzysztof Garmulewicz

te obawy prokuratorów moglibyśmy uniknąć. Trzecim powodem jest mylne przekonanie, że najlepszym sposobem na odwiedzenie kogoś od użytkowania narkotyków jest jego ukaranie. Ale to tak nie działa.

PK: Wspomniałeś sprawę Kory. Istnieje taki pogląd, że karanie uderza przede wszystkim w margines społeczny. Czy Kora jest marginesem społecznym?

AD: Ze statystyk osób zatrzymanych przez policję wynika, że ponad 90% osób to młodzi mężczyźni. Ustawa uderza więc przede wszystkim w tych, których najłatwiej złapać. Bez względu na to, czy jest to osoba z nizin społecznych, czy z dobrego domu. Problem dotyczy więc wszystkich. Ich wspólną cechą jest to, że mają najczęstszą między 18 a 30 lat i są nieuważni.

PK: W mediach możemy się jednak spotkać z poglądem, że zliberalizowanie ustawy doprowadzi do wzrostu zjawiska narkomanii.

Czy te obawy są zasadne?

AD: Jeżeli mamy rozmawiać o tym, jak pomóc osobom uzależnionym od narkotyków, to rozmawiamy o tym, jak dotrzeć do nich z taką pomocą. Na pewno nie jest nią ani policjant, ani prokurator, ani służba więzienna. Pamiętajmy też, że liczba osób uzależniających się od narkotyków jest relatywnie stała. Nawet w krajach, w których za posiadanie narkotyków grozi kara śmierci, jest podobny procent osób uzależnionych, jak w Holandii. Co ciekawe, Holandia ma przy tym najniższy na świecie procent osób pomiędzy 16 a 25 rokiem życia żyjących z szkodliwymi substancjami.

PK: Co zatem należy zrobić?

AD: Przede wszystkim należy skończyć z wojną z narkotykami. Jeszcze 30 lat temu, czyli przed ogłoszeniem wojny z narkotykami, używanie konopi w celach rekreacyjnych wynosiło 1–2% ogólnego jej wykorzystania. Po 30 latach proporcje się odwróciły. Tymcza-

sem konopie mają ogromne znaczenie dla przemysłu i to zrównoważonego przemysłu. Konopie mogą być wykorzystywane do rekultywacji gleb, produkcji papieru bez udziału chloru, produkcji celulozy, tekstyliów, bioplastiku i biopaliw. Przez niepotrzebną wojnę wszyscy tracimy, również w sensie gospodarczym.

PK: Jakie działania zamierza podjąć ruch Wolnych Konopi?

AD: Jesteśmy przekonani o konieczności legalizacji narkotyków. To, co powtarzaliśmy 10 lat temu, a co wtedy wydawało się fantasmagorią, jest obecnie podzielane przez większość ekspertów. Legalizacja stała się faktem nawet w niektórych stanach USA, czyli w ojczyźnie prohibicji. Obecnie stoimy na stanowisku, że należy stopniowo wprowadzać zmiany i edukować społeczeństwo. Efektem końcowym tych stopniowych zmian ma być jednak legalizacja.

Helena Matuszewska Wiersze



miałam czterech kochanków
którym nie napiszę osobnych wierszy
bo byli zbyt pośpieszni
zbyt eteryczni
żeby pamiętać ich zapach
albo smak ich potu
nie przypomnę sobie więcej
kategorycznego pożądanego
które nie znalazło granic
w potyskujących obręczkach
na dłoniach równie ciasno
oplatających moją szyję
i moje naprędcy rozchylone uda
co złoto ich palce
po każdym z nich
otworzyłam okno
i w ciszy
bez pośpiechu czy żalu
wypuszczałam papierosowy
przepocony lub słodkawy zapach zdrady
machając ręką
niecierpliwie czekającym żonom

jest jasno
myślałam że to ty
oświetlasz mi drogę
ale zarówno dzień jak i noc
płoną w moich oczach
a włosy głaszczące mi wiatr nie ty
i nie twoje palce
wcierają zapach liści
w moją skórę tuż nad ramionami
myślałam też
o wielu innych rzeczach
których fakt obecności
przypisywałam tobie
i obecności twoich ust oddechów
szorstkiej skórze łokci
tymczasem jestem w świetle
niezależnie od ciebie
nawet teraz
kiedy twoja twarz jest ciemną plamą
a zarys ust rozmył się
i już go nie pamiętam

Może innym razem podniosę powieki
i otworzę oczy.
Może innym razem.
Tymczasem – wynocha.
Zostawiam szelest kotłder,
stęchłą, mdlącą noc.
W moim trywialnym locie
wołam głośno „dość”.
Kiedyś przystanę zbyt piękna i obudzę duszę,
na krótko ją zamknę w parnej łaźni ciała,
a ciało wykorzystam do samego końca.
Prostackie spojrzenia, ręce, fiuty, bzdury,
zmrozę czerwienią paznokci i ust,
rozsunę znowu kotłdry,
roztańczę duszną noc.
Do tej pory – milczcie. I całujcie warkoczki.
Zabierzcie palce z moich nagich rzęs.
Może innym razem, bezlotni aniołowie.
Z patriachatem i bogiem – spadajcie. Wynocha.

Chińszczyzna po polsku

.....
Jerzy A. Masłowski



Desery na zdrowie



Tradycyjna medycyna chińska zaleca w leczeniu chorób rozmaite produkty żywnościowe. Często pacjent realizuje receptę nie w aptece, a w... restauracji, gdzie kucharz przez określoną liczbę dni przyrządza potrawę zgodnie ze wskazaniami naturoterapeuty. W leczeniu niektórych schorzeń dużą rolę odgrywają smaczne desery. Oto niektóre z nich.

PUDDING Z MARCHWI

(na wzmocnienie żołądka)

1 kg marchwi, pół kostki masła, pół litra mleka (może być sojowe), 25 dag cukru, 3 łyżki rodzynków, 3 łyżki wiórków migdałowych (lub wiórków kokosowych)

Marchew oskrobać, zetrzeć na drobnej tarce. W garnku roztopić masło i wło-

żyć startą marchew. Przez kilka minut gotować na średnim ogniu bez przerwy mieszając, aby się nie przypaliła. Następnie dodać mleko, cukier, rodzynki i migdały. Gotować kilkanaście minut aż zgęstnieje i będzie stanowił jednolitą masę. Wyłożyć pudding na talerz. Gdy ostygnie, uformować okrągły placek o grubości 3 cm. Włożyć do lodówki. Po pół godzinie podzielić na trójkąty i podawać jako przekąskę.

Uwaga! Przy nadkwasocie przyrządzać pudding bez cukru!

LEGUMINA

(na wzmocnienie nerwów)

25 dag zmielonych orzechów laskowych, 5 dag zmielonych migdałów, 35 dag brązowego cukru, półtora szklanki tłustego mleka, 3 łyżki masła

Wszystkie składniki dokładnie wymieszać w garnku, postawić na mały ogień i gotować przez 15 minut często mieszając (gdy mieszanina gęstnieje – mieszać bez przerwy). Zmniejszyć ogień do minimum. Kiedy utworzy się jednolita masa i zacznie odchodzić od dna garnka, przełożyć ją na posmarowany tłuszczem talerz, poczekać aż ostygnie. Mokrymi palcami uformować placek o grubości 3 cm. Gdy stężeje, pokroić na kawałki i każdy z nich ozdobić np. orzechem lub migdałem.

PIECZONE JABŁKA

(na wzmocnienie odporności)

4 duże, winne jabłka, 100 ml czerwonego wina, szczypta cynamonu, szczypta imbiru, 2 mielone goździki, 4 łyżeczki drobno posiekanych migdałów, 4 łyżeczki konfitury wiśniowej

Jabłka umyć, osuszyć, wydrążyć gniazda nasienne. Wino zagotować z cynamonem, imbirem i goździkami. Następnie jabłka ułożyć w żaroodpornym naczyniu i polać winem. Do wydrążonych otworów włożyć posiekane migdały, a na wierzchu po łyżeczkę konfitury. Piec pół godziny w temp. 180 stopni. Podawać na gorąco, polane sosem z pieczenia.

DESER Z KASZY MANNY

(na wzmocnienie wątroby)

Pół szklanki kaszy manny, 2 kwaśne jabłka, 1 łyżka miodu wielokwiatowego, 2 łyżki rodzynków, 2 łyżki konfitury z żurawiny

2 szklanki wody zagotować, powoli wsypywać kaszę nieustannie mieszając. Gdy zgęstnieje, zdjąć z ognia. Odczekać 2 minuty, po czym dodać 2 starte jabłka, miód i rodzynki. Dokładnie wymieszać. Przełożyć do pucharków i ozdobić konfiturą.

Smacznego!

Felieton sportowy Wojciecha Kłosowskiego



Respekt dla Mistrzów

Są równolatkami. Jeden czterokrotnie walczył o tytuł mistrza świata wagi ciężkiej, drugi był mistrzem Europy. „Dwie legendy wagi ciężkiej polskiego boksu” – piszą publicyści. Gołota to bezsprzecznie głośniejsze nazwisko, ale Saleta też ma za sobą ciekawą historię bokserską. Mieli walczyć ze sobą już dwukrotnie: w 2000 r., w pełni rozkwitu ich karier, a potem w 2005 r., kiedy na 10 dni przed walką Andrzej doznał kontuzji na treningu. Ostatecznie spotkali się 24 lutego 2013 r. Obaj są spełnieni sportowo, mają podobne rekordy: po około 50 stoczonych walk zawodowych, z czego ponad 40 wygranych, większość przez nokaut.

Ale mają dziś po 45 lat. Więc komentarze w internecie są na ogół pełne ironii: „dwóch emerytów”, „dziadki dostaną zadyszki po minucie”, „to będzie żenada”. W mediach nieco oględniej, ale ton bywa podobny. Więcej emocji dziennikarzy budzi planowana jako poprzedzająca główne wydarzenie wieczoru walka Zimnocha ze Szpilką: tam przynajmniej padają wyzwiska i wybucha smakowita szarpanina na konferencji prasowej. A tu – dwóch nudnych emerytów, którzy nawet – pomimo upartego prowadzenia przez dziennikarzy – nie chcą o sobie wzajemnie powiedzieć nic przykrego. Ostatecznie do walki Szpilka – Zimnoch nie dochodzi, kończy się na samej pyskówce młodzieńców, więc rozżalone media są zmuszone poważniej potraktować walkę „emerytów”: z czegoś w końcu trzeba wygenerować atrakcję dla gawiedzi. Ale Gołota nadal z miłym uśmiechem mówi „postaram się wygrać, zobaczymy”, a Saleta: „Dam z siebie wszystko, niech to będzie dobre widowisko”. Czyli – nudy. W mediach da się wyczuć lekką irytację odpornością obu sportowców na podpuszczanie:

z czego tu niby zrobić show?

Z boksu. Kiedy Gołota i Saleta wychodzą na ring, okazuje się nagle, że sport jest nieprzewidywalny. Niemal od początku zaczyna się znakomity pojedynek w półdystansie. Lepiej zaczyna Gołota: rozluźniony, ładnie chodzący na nogach balansujący tułowiem, trafia co chwila lewym prostym. Saleta skoncentrowany i początkowo spięty, pokazuje jednak charakter. Na lewy sierp Gołoty odpowiada akcją lewy prosty – prawy prosty. Andrzej kończy pierwszą rundę prawym na dół i prawym sierpem, ale widać, że Przemek się już przełamał i nawiązuje walkę. Świetnie rozpoczyna drugą rundę, co chwilę trafia kombinacjami. Andrzej kontruje prawym po odchyleniu i końcówka rundy znów dla niego. Ale publiczność zaczyna przecierać oczy ze zdumienia: akcja trwa cały czas, z obu stron mamy znakomity boks na wysokim poziomie. Żadnego kunktatorstwa i unikania walki, żadnego bezrozumnego rzucania się na siebie. Pojedynek, jakiego nie powstydziliby się ludzie młodszy o ćwierć wieku.

Przebieg walki zmienia się jak w kalejdoskopie: W trzeciej rundzie Saleta trafia znakomitą kombinacją prawy podbródkowy – lewy sierp, za chwilę rewanżuje mu się Gołota. Przed końcem rundy Przemek atakuje potężnym prawym poprawia lewym sierpem i Andrzeja ratuje Gong. Ale w czwartej rundzie tempo nie słabnie i mamy moment, kiedy to Saleta jest w poważnych opałach. Publiczność wstaje z miejsc, nikt już nie próbuje traktować tej walki jako występu emerytów. Podziw wzbudają obaj: techniką, kondycją, stylem walki. Pojedynek toczy się czysto, bez fauli. Nawet wypluwanie przez Gołotę ochraniacza na zęby na powtórkach

okazuje się raczej niezamierzoną konsekwencją tego, że Andrzej od trzeciej rundy walczy z otwartymi ustami, bo po prawym prostym Przemka nie jest w stanie oddychać przez nos.

Rundy piąta i szósta to nadal widowisko bokserskie na najwyższym poziomie. Tempo nie słabnie, nie sposób uwierzyć, że walczący mają razem 90 lat. Po serii nieprawdopodobnych wymian Andrzej w końcu upada stopniowo rozbity kolejnymi i kolejnymi kombinacyjnymi seriami Przemka. Sędzia wylicza Gołotę do dziesięciu.

Ale pojedynek – choć zakończony nokautem – był przecież niezwykle wyrównany. Okazuje się, że po pięciu rundach Andrzej wygrywał na kartach dwóch sędziów (49:47 i 49:48), a trzeci sędzia punktował remis (47:47). Więc gdyby nie nokaut, na koniec szóstej rundy mielibyśmy prawdopodobnie remis punktowy i wszystko byłoby jeszcze możliwe w tej wspaniałej walce.

Po wygranej Saleta mówi do kilkunastotysięcznej widowni: „Wygrana 45-letniego Salety nad 45-letnim Gołotą nic nie znaczy. To Andrzej pozostaje największym bokserem w historii polskiej wagi ciężkiej”. Widownia nagradza te słowa owacją.

Tak wygląda wielki sport. Nie zobaczymy tu tak oczekiwanego przez niektóre media gówniarskiego opluwania konkurenta. Zobaczymy za to wzajemny respekt, uznanie dla wielkiego wysiłku, ciężkiej pracy i niezłomnego charakteru. To wszystko warto oglądać, a oglądając – ładować się dobrą energią. Bo ta energia, ta atmosfera szacunku dla oponenta przyda się nam jak woda na pustyni, kiedy za moment do studia wejdą znów politycy i zaczną swoją walkę bez reguł.